



sznurowki

Domenico Starnone



Domenico Starnone

SZNURÓWKI

przełożył Stanisław Kasprzysiak



Tytuł oryginału: *Lacci*

Copyright © 2014 e 2016 Giulio Einaudi editore s.p.a., Torino

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Stanisław Kasprzysiak, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Część druga

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

1.

Jeśli już nie pamiętasz, szanowny panie, to Ci przypomnę: jestem Twoją żoną. Wiem, że kiedyś się tym cieszyłeś, a teraz nagle Ci to ciąży. Wiem, wolisz udawać, że mnie nie ma i że nigdy nie było, bo nie chcesz źle wypadać w oczach tych nadzwyczaj wykształconych ludzi, z którymi obcujesz. Wiem, że gdybyś prowadził poprawne życie, wracał na kolację do domu, spał ze mną, a nie z jakąś inną, na jaką właśnie przyszła Ci ochota, to czułbyś się idiotą. Wiem, że wstydzisz się mówić: ależ tak, ożeniłem się 11 października 1962 roku, w wieku dwudziestu dwu lat, na pytanie księdza w kościele dzielnicy Stella powiedziałem „tak” tylko z miłości, nie musiałem zaradzać żadnym kłopotom, ależ tak, jestem człowiekiem odpowiedzialnym, a jeżeli nie rozumiecie, co to znaczy podjąć się odpowiedzialności, to co z was za ludzie. Wiem, że tak jest, wiem bardzo dobrze. Ale chcesz tego czy nie, fakty mówią, że jestem Twoją żoną, a Ty moim mężem, jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat – dwanaście lat minie w październiku – i mamy dwoje dzieci: Sandra urodzonego w roku 1965 i Annę urodzoną w roku 1969. Czyżbym musiała wyciągnąć dokumenty, żebyś się nad tym zastanowił?

Dość tego, przepraszam Cię, przesadziłam. Znam Cię dobrze, wiem, że jesteś porządnym człowiekiem. Ale kiedy przeczytasz ten list, wróć z łaski swojej do domu. A jeśli jeszcze Cię na to nie stać, odpisz i wytłumacz mi, co się z Tobą dzieje. Postaram się zrozumieć, tyle mogę Ci obiecać. Jasno widzę, że chcesz czuć się wolny, i tak powinno być; ja i dzieci zrobimy wszystko, żeby nie być Ci ciężarem. Musisz mi jednak dokładnie wyjaśnić, co jest między Tobą a tą dziewczyną. Od sześciu dni nie telefonujesz, nie piszesz, nie pokazujesz się. Sandro wciąż dopytuje o Ciebie, Anna nie chce myć włosów, bo twierdzi, że tylko Ty umiesz je dobrze wysuszyć. Nie

wystarczy, żebyś mnie zapewniał, że ta pani czy panna nic Cię już nie obchodzi, że się z nią nie spotykasz, że nic dla Ciebie nie znaczy, że miałeś po prostu jakiś kryzys, który już minął. Musisz mi powiedzieć, ile ona ma lat, jak się nazywa, czy studiuje, czy pracuje, czy nic nie robi. Mogę się założyć, że to ona pierwsza Cię pocałowała. Nie jesteś z tych, co się z czymś takim wrywają, wiem, że jeśli się Ciebie nie sprowokuje, to sam na nic się nie zdobędziesz. A teraz jesteś zamroczony, widziałam Twój wzrok, kiedy mi mówiłeś: „Przespałem się z inną dziewczyną”. Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Myślę, że chyba jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, co mi zrobiłeś. Zrozum, że ja teraz czuję się tak, jakbyś ze mnie powoli wyciągał, wyciągał i wyciągał wszystko, co mam w środku.

2.

Kiedy czytam, co mi piszesz, odnoszę wrażenie, że jestem katem, a Ty ofiarą. A tego nie zniosę. Staram się, jak tylko umiem, wymuszam na sobie więcej, niż możesz sobie wyobrazić, i to Ty miałbyś być ofiarą? Dlaczego? Dlatego że zaczęłam trochę głośniej mówić, dlatego że rzuciłam dzbankiem z wodą? Musisz przyznać, że miałam powody. Pojawiłeś się bez uprzedzenia, a nie było Cię w domu prawie miesiąc. Wydawałeś mi się spokojny, nawet czuły. Pomyślałam sobie, że nie jest źle, że już się pozbierałeś. Tymczasem jak gdyby nigdy nic powiedziałeś, że ta osoba, która jeszcze cztery tygodnie temu zupełnie Cię nie interesowała – a której uprzejmie postanowiłeś przywrócić imię, nazywając ją Lidią – jest teraz dla Ciebie tak ważna, że nie potrafisz bez niej żyć. Jeśli nie brać pod uwagę tej jednej jedynej chwili, kiedy wspomniłeś o jej istnieniu, rozmawiałeś ze mną tak, jakbyś mi przekazywał polecenie służbowe, a ja po wysłuchaniu miałam mieć do powiedzenia tylko: Tak jest, zgadzam się, idź do tej Lidii, serdecznie Ci dziękuję i postaram się nie sprawiać Ci już żadnych kłopotów. Kiedy jednak spróbowałam jakoś na to zareagować, uciszyłeś mnie i wdałeś się w ogólnikowe dywagacje na temat rodziny – zrobiłeś mi wykład o rodzinie w dziejach ludzkości, o rodzinie w dzisiejszym świecie, o rodzinie, z której pochodzisz, o rodzinie, którą założyłeś. Miałam siedzieć

cicho i położyć uszy po sobie? Na to liczyłeś? Czasami jesteś rozbrajający, zdaje Ci się, że wystarczy, byś zlepiał jakiś niejasny wywód z tą Twoją historyjką, i od razu wszystko okaże się bardzo rozsądne. Ale mnie już znudziły te Twoje gierki. Znowu mi opowiedziałeś, po raz enty, tyle że tym razem w egzaltowanym tonie, którym zazwyczaj się nie posługujesz, jak to niesłuchanie zniszczyła Ci dzieciństwo niezgoda między twoimi rodzicami. Uciekłeś się do ekstrawaganckiej przenośni: powiedziałeś, że Twój ojciec owinął Twoją matkę drutem kolczastym, a Ty musiałeś cierpieć za każdym razem, kiedy widziałeś, jak ostre kolce wbijają się w jej żywe ciało. Potem przeskoczyłeś na nas. Wyjaśniłeś, że tak jak Twój ojciec krzywdził Was wszystkich, tak Ty – bo wciąż prześladowuje Cię wspomnienie tego nieszczęsnego człowieka – bałeś się, że krzywdzisz Sandra, Annę, a przede wszystkim mnie. Widzisz – zapamiętałam, co mówiłeś, słowo w słowo. Długo rozwodziłeś się z zimną krwią i przemądrzale na temat ról, które musimy grać, skoro założyliśmy rodzinę – jest w niej rola męża, żony, matki, ojca, dzieci – i zobrazowałaś mi nas, czyli mnie, siebie, nasze dzieci, jako tryby jakiejś nedorzecznej maszyny, które muszą bez ustanku powtarzać te same mechaniczne ruchy. I tak to ciągnęłaś, przytaczając raz po raz cytaty z jakichś książek, jakbym nie miała o tej sprawie zielonego pojęcia. Z początku myślałam, że dlatego tak do mnie mówisz, bo spotkało Cię coś przykrego i już nie przypominasz sobie, jaka byłam, nie pamiętasz, że są we mnie uczucia i myśli, że mówię własnym głosem i nie jestem marionetką w Twoim teatrze kukielkowym. Domyśliłam się dość późno, że starasz się nam pomóc. Chcesz, bym sobie uświadomiła, że rozsypując nasze wspólne życie, uwalniasz w gruncie rzeczy mnie i dzieci od siebie, i że za tę Twoją wielkoduszność powinniśmy Ci być wdzięczni. Ach, kochany mężu, dziękuję, jakież jesteś miły. Chyba Cię nie dotknęłam, nie wyrzuciłam Cię z domu.

Aldo, proszę Cię, oprzytomniej. Musimy rozmówić się poważnie, chcę zrozumieć, co się z Tobą dzieje. W czasie naszego długiego wspólnego życia byłeś zawsze człowiekiem czułym i dla mnie, i dla dzieci. Nie przypominasz ani trochę swojego ojca, zapewniam Cię,

nigdy nie wyczułam czegoś takiego jak drut kolczasty, tryby jakiejś maszyny czy te inne głupstwa, o których mówiłaś. Zauważyłam tylko – to z całą pewnością – że w ostatnich latach coś się między nami zmienia, bo przyglądałaś się chętnie innym kobietom. Pamiętam doskonale tamtą dziewczynę na kempingu poprzedniego lata. Siedziałaś w cieniu na leżaku, czytałaś całymi godzinami. Miałaś coś sobie przygotować, tak tłumaczyłaś to, że nie poświęcasz uwagi ani mnie, ani dzieciom, kartkowałeś książki pod piniami albo na plaży, robiłaś notatki. Czasami jednak podnosiłaś wzrok, ale tylko po to, by popatrzeć na nią. I miałaś zaciśnięte usta jak zawsze, kiedy masz w głowie zamęt i chcesz go sobie jakoś nazwać.

Wtedy przekonywałam sama siebie, że nie robisz nic złego: dziewczyna była śliczna, oczom nie da się niczego nakazać, prędzej czy później wyrwie się jakieś spojrzenie. Ale było mi bardzo przykro, zwłaszcza kiedy zaczęłaś okazywać podejrzaną zapał do zmywania naczyń, czego nigdy wcześniej nie robiłaś. Biegłaś do umywalki, kiedy tylko tamta się pojawiała, a wracałaś, kiedy ona odchodziła. Myślisz, że jestem ślepa, że we mnie nic się nie dzieje, że niczego nie widzę? Powtarzałam sobie: cierpliwości, to nic takiego. Bo wydawało mi się nie do pomyślenia, że może Ci się podobać inna kobieta, byłam przekonana, że jeśli Ci się raz spodobałam, to muszę Ci się podobać zawsze. Myślałam, że prawdziwe uczucia nie mogą się zmieniać, zwłaszcza w małżeństwie. Coś takiego się zdarza, owszem – mówiłam sobie – ale tylko osobom lekkomyślnym, a Ty taki nie jesteś. Potem uznałam, że nowe czasy przynoszą wiele zmian, że Ty przecież chcesz teraz brać wszystko lżej, że ja może zanadto się przejmuję dbaniem o dom, rachunkami, doglądaniem dzieci. Zaczęłam patrzeć ukradkiem w lustro. Jaka jestem? Kim jestem? Dwie cięższe niewiele mnie zmieniły, byłam dobrą żoną i matką. Ale najwidoczniej nie wystarcza prawie się nie zmienić od czasów, kiedy się poznaliśmy i pokochaliśmy, a nawet może właśnie w tym tkwiła pułapka, może właśnie trzeba było się zmienić, może koniecznie powinnam była stać się kimś więcej niż tylko dobrą żoną i troskliwą matką? Dlatego próbowałam się upodobnić do tamtej z kempingu, do tych wszystkich dziewcząt, które na pewno kręciły

się przy Tobie w Rzymie, i robiłam, co mogłam, żeby brać udział również w tym Twoim życiu, które prowadziłeś poza domem. Weszłam z wolna w inną fazę, chyba zauważyłeś? A może nie? Albo zauważyłeś, ale zmiana i tak na nic się nie zdała? Dlaczego? Może za mało się starałam? Ugrzęzłam w pół drogi, nie umiałam upodobnić się do tych innych kobiet i w dalszym ciągu byłam, jaka byłam? Albo może przesadziłam z tą zmianą? Byłam zanadto inna i to Cię drażniło, wstydziłeś się za mnie, już mnie nie akceptowałeś?

Porozmawiajmy o tym, nie możesz mnie trzymać w niepewności. Muszę też coś wiedzieć o tej Lidii. Mieszka sama, śpisz u niej? Ma w sobie to, czego szukałeś, a ja już tego nie mam lub nigdy nie miałam? Wymknąłeś się od nas, starałeś się na wszelkie sposoby niczego mi jasno nie powiedzieć. Gdzie teraz jesteś? Zostawiłeś mi swój rzymski adres, zostawiłeś numer telefonu, ale piszę i nie odpowiadasz, telefonuję i nikt się nie odzywa. Co mam zrobić, żeby Cię znaleźć? Powinnam telefonować do Twoich kolegów i studentów, mam wszystkim mówić, że jesteś nieodpowiedzialny?

Muszę zapłacić za światło i gaz. I czynsz. Mam na głowie dwoje dzieci. Wracaj do nich! Mają prawo mieć rodziców, którzy opiekują się nimi w dzień i w nocy, muszą mieć ojca i matkę, z którymi jedzą razem śniadanie, którzy zawożą je do szkoły, a potem z niej odbierają. Mają prawo mieć rodzinę i dom, gdzie siada się razem do obiadu, gdzie razem z rodzicami bawią się, odrabiają lekcje i oglądają telewizję, a po kolacji znowu coś oglądają i na koniec dnia wszyscy mówią sobie dobranoc. Sandro, powiedz tacie dobranoc, i ty, Anno, powiedzcie dobranoc ojcu. Grymaszenie na nic się nie zda. Dzisiaj na bajki nie liczcie, zrobiło się późno, jeżeli chcecie usłyszeć chociaż jedną, pospieszcie się z myciem zębów, tata wam coś opowie, ale macie na to najwyżej kwadrans, a potem do łóżka, bo inaczej jutro spóźnimy się do szkoły, a ojciec musi jechać wczesnym pociągiem, bo i on mógłby się spóźnić do pracy, co mu potem wypomną. No i dzieci – pamiętasz? – biegną myć zęby i pędzą do Ciebie, masz im opowiedzieć bajkę, i tak się dzieje co wieczór, od kiedy się urodziły, i tak będzie się dziać, dopóki nie odejdą z domu, a my się nie zestarzejemy. Ale może nie masz ochoty

starzeć się razem ze mną, może nawet już nie masz ochoty patrzeć, jak rosną Twoje dzieci. Czy tak teraz jest? Tak to wygląda?

Boję się. Nasz dom stoi na uboczu. Wiesz, jaki jest Neapol, mieszkamy w niedobrej dzielnicy. W nocy wciąż słyszę hałasy i śmiech, nie mogę zasnąć, zanadto mnie to niepokoi. A jeśli przez okno wejdzie złodziej? A jeśli ukradną nam telewizor i odtwarzacz płyt? A jeśli się okaże, że ktoś ma Ci coś za złe i zechce się zemścić i zabije Cię we śnie? Zapomniałeś, że ja nie mam pracy, że nie mogę zarobić na życie? Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Aldo, uważaj! Jeśli się postaram, będzie Cię to drogo kosztować.

3.

Widziałam się z Lidia. Jest młodziutka, piękna, uprzejma. Wysłuchiła mnie o wiele uważniej niż Ty. I powiedziała mi bardzo rozsądnie: Musisz się rozmówić z nim, ja nie chcę się mieszać między was. To prawda, ona jest kimś postronnym, niepotrzebnie chciałam się z nią spotkać. Cóż mi mogła powiedzieć? Że Tobie przyszła na nią ochota, że ją na siebie namówiłeś, że Ci się spodobała i ciągle Ci się podoba? No nie, szkoda gadać, jedyną osobą, która może mi wyjaśnić całą sytuację, jesteś Ty. Ona ma dziewiętnaście lat, co może wiedzieć, co z tego rozumie? Ty masz trzydzieści cztery, jesteś żonaty, wykształcony, masz przyzwoitą pracę, cenią Cię w niej. To ty musisz mi zrozumiale wyjaśnić, co się dzieje, nie Lidia. A tymczasem po dwu miesiącach usłyszałam od Ciebie tylko tyle, że nie możesz już z nami być. Tak po prostu? Jest jakiś powód? Zaklinałeś się, że nie chodzi o mnie, że ja Ci nie przeszkadzam. O dzieciach nie ma co mówić, są Twoje, dobrze czują się z Tobą, a Ty z nimi, przyszlście do zgody. Więc o co Ci chodzi? Na to nic mi nie odpowiadasz. Potrafisz tylko mamrotać: Nie wiem dlaczego, jakoś tak to wyszło. A kiedy Cię pytam: Masz nowe mieszkanie, nowe książki, coś w tym domu własnego?, odpowiadasz: Nie, nie, nic nie mam, źle się w nim czuję. A kiedy pytam: Mieszkasz z Lidia, śpicie razem, jecie razem?, to się wykręcasz, cedzisz: Nie, nic takiego, tylko się spotykamy. Chcę Cię przestrzec, Aldo. Przestań tak się ze mną bawić, nie zniosę tego. Kiedy rozmawiamy, ciągle mi się

zdaje, że nie mówimy sobie prawdy. A raczej, że ja jakoś staram się po swojemu do niej docierać, a Ty mnie okłamujesz i w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że mnie nie szanujesz, że się mnie wyrzekłeś.

Jestem coraz bardziej wystraszona. Boję się, że to lekceważenie mnie przeniesiesz także na dzieci, na naszych przyjaciół, na wszystkich. Chcesz mnie odsunąć, całkiem wykluczyć. A co najgorsze, chcesz się wykręcić od rozważenia na nowo całego naszego związku. To mnie niszczy. W przeciwieństwie do Ciebie muszę wiedzieć, w czym rzecz, nie możesz się ociągać, musisz mi dokładnie, bez wykrętów powiedzieć, dlaczego mnie rzuciłeś. Jeśli uważasz mnie jeszcze za człowieka, a nie za jakieś zwierzę, które się odpędza kijem, to masz mi to wyjaśnić, i to wyjaśnić szczerze.

4.

Wreszcie zrozumiałam. Postanowiłeś nas zostawić, mamy się zdać na los. Pragniesz żyć na swój sposób, dla nas w Twoim życiu nie ma miejsca. Pragniesz bywać, gdzie chcesz, widywać, kogo chcesz, układać sobie życie, jak chcesz. Pragniesz zostawić za sobą nasz mały światek i z nową kobietą wejść do wielkiego świata. My jesteśmy dla ciebie świadectwem zmarnowanej młodości. Ułomnością, która nie pozwoliła Ci się wspiąć wyżej, i spodziewasz się, że bez nas zaraz to nadrobisz.

Jeśli dobrze zrozumiałam, przeszkadza Ci, kiedy tak często mówię „my”. Bo już jest inaczej: „my” to ja i dzieci, zaś Ty to już jesteś „Ty”. Odchodząc, rozbiłeś nasze wspólne życie. Zburzyłeś nasze widzenie Ciebie, obraz człowieka, za jakiego chcieliśmy Cię uważać. Zrobiłeś to rozmyślnie, wszystko to zaplanowałeś, musimy przyjąć do wiadomości, że nie jesteś wytworem naszych wyobrażeń. Więc teraz ja, Sandro i Anna siedzimy tu, w Neapolu, grozi nam bieda, nie mamy żadnego zabezpieczenia, dręczy nas niepewność, a Ty gdzieś sobie używasz życia z kochanką. W tej sytuacji dzieci są już tylko moje, nie należą do ciebie. Tak pokierowałeś sprawą, że ojciec stał się dla nich i dla mnie tylko złudzeniem.

Ale powtarzasz, że nie chcesz z nami zrywać stosunków. Zgoda,

jestem za tym, chciałabym jednak usłyszeć od Ciebie, jak to sobie wyobrażasz. Zamierzasz być prawdziwym ojcem w każdej ich potrzebie, chociaż wykluczyłeś mnie ze swego życia? Zamierzasz zajmować się Sandrem i Anną, być razem z nimi z dala ode mnie? Chcesz być jak cień pojawiający się przy nich od czasu do czasu, a potem zostawiać je na mojej głowie? Spytaj o to dzieci, upewnij się, czy im to odpowiada. Mogę Ci powiedzieć tylko tyle, że zniemacka odebrałeś im to, co – jak myślały – należy do nich, i że czują się z tym naprawdę źle. Dla Sandra byłś punktem odniesienia, więc teraz jest zagubiony, Anna nie wie, co złego zrobiła, ale myśli, że musiało to być poważne przewinienie, skoro ją ukarałeś swoim odejściem z domu. Tak przedstawia się sytuacja dzieci; sprawę z nimi załatw, jak chcesz, będę się przyglądała, jak Ci pójdzie. Ale z góry ostrzegam, że po pierwsze nie pozwolę Ci psuć mojej więzi z dziećmi, a po drugie, że przeszkodzę Ci krzywdzić je bardziej, bo już je dość skrzywdziłeś, okazując się ojcem, który w rzeczywistości nim nie jest.

5.

Chyba już zrozumiałeś, dlaczego zrywając więzi ze mną, zrywasz je także z Sandrem i Anną. Łatwo tak mówić: jestem ojcem i chcę nim być w dalszym ciągu. A w rzeczywistości jest przecież tak, że dla dzieci nie ma miejsca w Twoim obecnym życiu, że chcesz się od nich uwolnić, tak jak uwolniłeś się ode mnie. Kiedy zresztą troszczyłeś się o nie naprawdę?

Napiszę Ci, co nowego u nas, łudząc się, że to Cię zainteresuje. Mieszkamy gdzie indziej, nie mogłam płacić tak wysokiego czynszu. Przenieśliśmy się do Gianny i jakoś urządziliśmy się u niej. Dzieci musiały zmienić szkołę i przyjaźnie, Annie ciężko z tym, że nie może już widywać się z Marisą, a jak wiesz, była z nią bardzo zżyta. Musiałeś sobie od początku zdawać sprawę, że tak się to skończy, że porzucając mnie, narazisz dzieci na rozmaite kłopoty i wyrzeczenia. Czy mimo to kiwnąłeś palcem, żeby tego uniknęły? Skądże, myślałeś tylko o sobie.

Obiecałeś Sandrowi i Annie, że pojedziesz z nimi na wakacje, i to

na całe lato, więc zaciskając zęby, zjawiałeś się którejś niedzieli, żeby je zabrać, a one bardzo się ucieszyły. I jak to wyglądało? Po czterech dniach przywiozłeś je z powrotem, twierdząc, że zajmowanie się nimi zanadto Cię męczy, że nie jesteś w stanie temu podołać, i zaraz wyjechałeś gdzieś z Lidią i tyleśmy Cię widzieli aż do jesieni. Nie pomyślałeś, jak w takim razie dzieci spędzą resztę lata, gdzie, z kim, za czyje pieniądze. Liczyła się tylko Twoja wygoda, nie dobro dzieci.

Rzućmy jeszcze okiem na twoje niedzielne odwiedziny u dzieci. Celowo pojawiałeś się późno, spędzałeś z nami parę godzin. Nigdy nigdzie ich nie zabierałeś, nigdy się z nimi nie bawiłeś. Oglądałeś telewizję, a one siedziały przy Tobie, ciągle na coś czekając, przyglądając Ci się.

A święta? Na Boże Narodzenie, na Nowy Rok, na Trzech Króli, na Wielkanoc – Ciebie nie było. Gorzej, bo kiedy dzieci prosiły, żebyś je zabrał do siebie, zawsze odpowiadałeś, że nie masz ich gdzie przyjąć, jakby to byli obcy goście. Anna narysowała Ci swój sen o śmierci i dokładnie Ci swój rysunek objaśniła. Nic Cię to nie obeszło, nie wzruszyłeś się, nie posłuchałeś i nie powiedziałeś, że pięknie dobrała kolory. Ożywiałeś się tylko wtedy, kiedy w sporach ze mną chciałeś koniecznie podkreślić, że masz już swoje życie, że ono nie jest już naszym wspólnym życiem, że rozłąka jest ostateczna.

Dzisiaj już wiem, że się boisz. Niepokoi Cię, że dzieci mogą podkopać Twoje plany uwolnienia się od nas, że zapłaczą się w Twój nowy związek, że ci go popsują. To tylko gadanie, mój drogi, kiedy mi powtarzasz, że chcesz być w dalszym ciągu ojcem. Sprawa nie tak wygląda. Uwolniwszy się ode mnie, chcesz się również uwolnić od dzieci. Najwyraźniej krytykowanie rodziny, tych porozdzielanych w niej ról i te wszystkie inne wymysły to tylko wykręt. Wcale nie walczysz z tą opresyjną instytucją, która sprowadza poszczególne osoby do pełnienia wyznaczonych im funkcji. Gdyby o to Ci chodziło, to od razu byś zauważył, że zgadzam się z Tobą, że ja także chcę się od czegoś takiego wyswobodzić, że potrzebuję zmiany. Gdyby o to Ci chodziło, to rozbijając rodzinę, zawahałbyś się przed strąceniem nas w tę uczuciową, ekonomiczną

i społeczną przepaść i przyjąłbyś do wiadomości nasze emocje i nasze potrzeby. A tymczasem – nic podobnego. Chcesz się po prostu pozbyć Sandra, Anny i mnie. Widzisz w nas tylko przeszkodę na drodze do swojego szczęścia, masz nas za pułapkę, która Cię więzi i nie pozwala do woli używać życia, uważasz, że jesteśmy jakimś osadem w Tobie, niedorzecznym i szkodliwym. Od początku sobie powiedziałeś: Muszę odzyskać samego siebie, nawet jeśli ich to zniszczy.

6.

Podsuwasz przykład schodów. Przecież wiesz, jak to jest – tłumaczysz mi – kiedy człowiek zaczyna wchodzić po schodach. Nogi idą jedna za drugą, nauczyliśmy się tego w dzieciństwie. Ale radość tamtych pierwszych kroków mamy już za sobą. Dorastając, wzorowaliśmy się na sposobie wchodzenia naszych rodziców, naszego starszego rodzeństwa, naszych bliskich. Nogi już odruchowo dążyły w górę. A napięcie, emocje, szczęście, które czerpaliśmy z samodzielności, już utraciliśmy, przepadły podczas dalszej nauki wchodzenia. Wchodzimy w przekonaniu, że nogi przestawiamy my, ale tak nie jest, razem z nami pokonuje stopnie mały tłumek tych osób, na których się wzorowaliśmy; wyuczone i pewne kroki to tylko rezultat naszego nawyku. Człowiek albo taki konformizm odrzuca – stwierdzasz na koniec – by odnaleźć tamtą dziecięcą radość własnych kroków, albo skazuje się na coraz bardziej szarą pospolitość.

Chyba dobrze streściłam Twoje wywody? No to teraz dołączę do nich moją opinię. Jest to przenośnia głupia, stać Cię na lepszą, spróbuję jednak przyznać Ci rację i uznam ją. Chciałeś jak zwykle w obrazowy sposób dać mi do zrozumienia, że kiedyś byliśmy ze sobą szczęśliwi, ale później nasze szczęście musiało się podporządkować codzienności, która co prawda z jednej strony sprawiała, że dni, miesiące i lata toczyły się bez problemów, jednak z drugiej stopniowo przytłaczała zarówno nas oboje, jak i dzieci. Zgoda. Jednak musisz mi wyjaśnić, jak wyglądają skutki takiego naszego postępowania. Chcesz mi powiedzieć, że gdyby to było

możliwe, cofnąłbyś się chętnie o piętnaście lat, ale cofnąć się nie można, a mimo to pragnienie, by doznawać takiej przyjemności jak na początku, jest w Tobie bardzo silne, więc pozostaje Ci zaczynać to samo z Lidią? To chcesz mi uświadomić? Jeśli tak, to coś Ci powiem. Ja także od jakiegoś czasu myślę, że się zmieniliśmy i że ta zmiana źle robi nam, Sandrowi i Annie, że groziłoby nam teraz jedynie burzliwe współżycie. Ja także od jakiegoś czasu obawiam się, że jeśli poprzestaniemy na tym, by jakimś sposobem ciągnąć razem dalej i w tej atmosferze wychowywać dzieci, będzie to z krzywdą dla nas i dla nich, i że wobec tego lepiej będzie, jeśli dasz sobie z tym spokój. Ale ja, właśnie ja, w przeciwieństwie do Ciebie nie wierzę, że klucze do ziemskiego rajy przepadły gdzieś z Twojej winy i że wobec tego powinnam się związać z kimś innym, mniej zagubionym. Nie wyrzekam się ani Ciebie, ani dzieci, żeby uwolnić siebie, nie niszczyć nikomu życia. Zresztą w jaki sposób miałabym się uwolnić? Tworząc inną parę i inną rodzinę, jak Ty to robisz z Lidią?

Aldo, proszę Cię, nie baw się słowami, już i tak mnie wykończyłeś. Po raz ostatni próbuję Cię skłonić do myślenia. Użalanie się na przeszłość jest żalosne, marne jest także ciągle gonienie za jakimś nowym początkiem. Twoje szukanie zmiany może na koniec przybrać tylko jedną postać – musimy zostać we czworo: Ty, ja, Sandro i Anna. Musimy razem ruszyć dalej. Przyjrzyj mi się, przyjrzyj mi się uważnie, postaraj się mnie zobaczyć. Za niczym nie tęsknię. Próbuję wchodzić tymi Twoimi żalosnymi schodami własnym krokiem i chcę dotrzeć wyżej. Ale jeśli nie dasz ani mnie, ani dzieciom możliwości wspólnego życia, założę sprawę w sądzie i będę żądała, by opiekę nad dziećmi przyznano wyłącznie mnie.

7.

Wreszcie Twoje zachowanie nie budziło żadnych wątpliwości. Nawet nie mrugnąłeś okiem, wysłuchując orzeczenia sędziego, nie kiwnąłeś palcem, żeby zachować swoje z taką gorliwością deklarowane ojcostwo. Wyraziłeś zgodę, żebym tylko ja zajmowała się dziećmi, nie rozczulałeś się, nie pomyślałeś, że może one i Ciebie potrzebują.

Zrzuciłeś na moją głowę ich życie, oddzieliłeś je od swojego. A ponieważ milczenie jest znakiem zgody, nasze małe dzieci są teraz powierzone mnie. „Ze skutkiem natychmiastowym”. Wspaniale, mogę być naprawdę dumna, że Cię pokochałam.

8.

Zabiłam siebie. Wiem, że powinnam napisać „próbowałam się zabić”, ale byłoby to niedokładne. Przecież ja już naprawdę jestem martwa. Myślisz, że zrobiłam to, żeby Cię zmusić do powrotu? I w obawie przed tym nawet w takich okolicznościach pilnowałeś się i nie wpadłeś do szpitala chociaż na pięć minut? W obawie, że znajdziesz się w sytuacji, z której już nie będziesz umiał się wydostać? A może wystraszyłeś się, że będziesz musiał zobaczyć z bliska, do czego doprowadziłeś?

Mój Boże, jesteś naprawdę człowiekiem słabym i pokrętnym, pozbawionym wrażliwości, płytkim, jaskrawym przeciwieństwem tego mężczyzny, za którego przez dobre dwanaście lat chciałeś uchodzić. Nie obchodzą Cię inni, nie ciekawi Cię, jak się zmieniają, kim się stają. Innymi tylko się wysługujesz. Innym zostawiasz trochę przestrzeni wyłącznie wtedy, kiedy stawiają Cię na piedestale. Z innymi wiążesz się jedynie pod warunkiem, że docenią Twój autorytet i godną Ciebie rolę, jedynie pod warunkiem, że wielbiąc Ciebie, nie dostrzegą, jaki jesteś w gruncie rzeczy pusty w środku i jak ta pustka Ciebie samego przeraża. A kiedy ten mechanizm się zacina, kiedy ludzie nabierają do Ciebie dystansu i chcą żyć samodzielnie, zgniatasz ich i idziesz dalej. Nigdy nie przestajesz, zawsze musisz być w centrum uwagi. Uzasadniasz to tym, że chcesz być człowiekiem na miarę dzisiejszych czasów. Nazywasz tę swoją gorliwą krzątanie uczestnictwem. O, na pewno uczestniczysz, na pewno bierzesz udział, bierzesz zbyt wielki udział. Ale w istocie jesteś bierny, przyswajasz sobie myśli i słowa z książek, które w danej chwili uchodzą za najważniejsze, a potem ich używasz, jesteś bez reszty zdany na konwenanse i na mody narzucone przez tych, którzy liczą się naprawdę, przez ludzi, do których chciałbyś czym prędzej dołączyć. Nigdy nie jesteś sobą, nigdy sobą nie byłeś,

nie wiesz nawet, co to takiego. Ty tylko przytomnie starasz się chwytać okazje, gdy się nadarzają. W Rzymie trafiła Ci się okazja zostania asystentem na uniwersytecie, no to wzięłaś posadę asystenta. Zagarnął Cię bunt studentów, no to zająłeś się polityką. Zmarła Twoja matka, która trzymała Cię w ryzach, a ponieważ ja wtedy grałam rolę Twojej narzeczonej, to się ze mną ożeniłeś. Pojawiły się dzieci, ale tylko dlatego, że skoro byłeś mężem, to koniecznie musisz być także ojcem, bo tak przecież postępują wszyscy. Trafiła Ci się odpowiednia dziewczyna, więc w imię wolności seksualnej i pomiatania instytucją rodziny stałeś się jej kochankiem. Zawsze będziesz szedł przed siebie w ten sposób i nigdy nie będziesz taki, jakim chciałbyś być, tylko taki, jakim być Ci się przydarzy.

Staralam się podczas tych okropnych lat – tych trzech lat udręki – jakoś Ci pomóc. Po całych dniach i nocach analizowałam przed Tobą siebie, chciałam Cię skłonić, żebyś ze swej strony zrobił to samo. Ale ty tego nie zauważałeś. Słuchałeś mnie nieuważnie, jestem prawie pewna, że nigdy nie czytałeś moich listów. Kiedy Ci przyznawałam, że rodzina istotnie wiele w człowieku tłumi, że role, które narzuca, rzeczywiście nas ograniczają, i kiedy na koniec z największym trudem docierałam do sedna sprawy, a później zmieniałam się, zmieniałam się we wszystkim, rozwijałam się, jak umiałam, Ty nawet tego nie zauważyłeś, a jeśli zauważyłeś, to Cię to dotyczyło, wymykałeś się, zbywałeś mnie byle słówkiem, byle spojrzeniem, byle gestem. Samobójstwo było tylko ukoronowaniem tego stanu rzeczy. Bo zabiłeś mnie znacznie wcześniej i to nie jako żonę, ale jako osobę, która w sposób pełniejszy i prawdziwszy odnajduje siebie. A to, że przeżyłam, że ciągle jeszcze istnieję w rejestrach urzędu stanu cywilnego, wcale mnie nie uszczęśliwia, nie myśl sobie, uszczęśliwia to tylko nasze dzieci. Twój unik i Twoja obojętność nawet w tak drastycznej sytuacji są dowodem, że gdybym umarła, Ty i tak poszedłbyś dalej swoją drogą.

9.

Odpowiadam na pytania, które mi stawiasz.

Przez ostatnie dwa lata wciąż pracowałam, zajmowałam się różnymi sprawami, przeważnie dla paru groszy, zatrudniałam się w jakichś urzędach, ale też prywatnie. Dopiero od niedawna mam stałą pracę.

Naszą rozłąkę potwierdziła już sytuacja rodzinna, a także Twoja zgoda na powierzenie mi dzieci, którą podpisałeś. Nie widzę tu potrzeby żadnych zmian.

Regularnie dostaję od Ciebie pieniądze, chociaż nigdy Cię o nic nie prosiłam, ani dla siebie, ani dla dzieci. Chociaż nam się nie przelewa, staram się ich nie wydawać, odkładam je dla Sandra i Anny.

Telewizor mamy już od dawna popsuty i przestałam płacić abonament.

Piszesz, że chcesz uporządkować swoje stosunki z dziećmi. Uważasz, że skoro minęły cztery lata, można będzie tę sprawę jakoś miło ułożyć. A co tu jest jeszcze do układania? Jak ta Twoja potrzeba wygląda, wyraźnie ujawniłeś, kiedy odszedłeś, okradając nas z naszego życia, kiedy nas porzuciłeś, bo nie chciałeś znosić odpowiedzialności za nas. Mimo to przeczytałam dzieciom Twoją prośbę i one postanowiły spotkać się z Tobą. Przypominam Ci, bo może tego nie pamiętasz, że Sandro ma trzynaście lat, a Anna dziewięć. Bardzo im dokuczają niepewność i lęk. Nie pogłębiaj ich zmartwień jeszcze bardziej.

Część druga

Rozdział pierwszy

1.

Trzeba zacząć od samego początku. Vandę wciąż poboлеwał złamany niedawno nadgarstek i za radą ortopedy tuż przed wyjazdem na wakacje wypożyczyła sobie na dwa tygodnie lampę na podczerwień. Ustaliła z firmą cenę na dwieście pięć euro, lampę mieli przywieźć następnego dnia. Nazajutrz w południe ktoś zadzwonił do drzwi, żona była zajęta w kuchni, więc poszedłem otworzyć, ale pierwszy jak zwykle pobiegł kot. Młoda szczupła kobieta o krótkich czarnych włosach, chyba niezbyt gęstych, z delikatną, niezwykle bladą twarzą, na której rysowały się wyraziście żywe, nieumalowane oczy, podała mi szare pudełko. Wzięłem je do ręki, a ponieważ pieniądze miałem na biurku w gabinecie, powiedziałem:

– Chwileczkę, przepraszam.

Dziewczyna weszła do środka i poszła za mną, chociaż jej nie zapraszałem.

– Piękny jesteś – zawołała, zwracając się do kota. – Jak się nazywasz?

– Labes – odpowiedziałem za niego.

– Skąd takie imię?

– Znaczący: zwierzę domowe.

Dziewczyna zaśmiała się, pochyliła nad Labesem i go pogłaskała.

– Dwieście dziesięć euro – powiedziała.

– Nie dwieście pięć?

Zaprzeczyła ruchem głowy, zajęta tylko Labesem: łaskotała go pod brodą i przymilnie do niego gaworzyła. Potem, wciąż przykucnięta przy kocie, zwróciła się do mnie rzeczowym tonem osoby, której praca polega na chodzeniu po domach i która umie rozwiewać niepokój starszych ludzi, kiedy widzą, że do ich mieszkania wchodzi ktoś obcy.

– Proszę otworzyć pudełko – powiedziała. – Tam jest rachunek,

zobaczy pan, że ma być dwieście dziesięć. – I nie przestając łaskotać Labesa, zaczęła się rozglądać z ciekawością po moim gabinecie. – Ile tu książek!

– Tyle muszę mieć do swojej pracy.

– Ma pan piękną pracę. I tyle figurek! Ten sześcian u góry w takim cudownym granatowym kolorze jest z drewna?

– Z metalu. Kupiłem go w Pradze wiele lat temu.

– Naprawdę piękny dom – zawołała, wstając. I raz jeszcze zwróciła mi uwagę na pudełko: – Proszę sprawdzić.

Podobały mi się jej wielkie lśniące oczy.

– Nie warto – odpowiedziałem i wręczyłem jej dwieście dziesięć euro.

Wzięła je jakby nigdy nic i żegnając się z kotem, rzuciła do mnie:

– Niech się pan nie zamecza czytaniem. Do widzenia, Labes.

– Do widzenia, dziękuję – powiedziałem.

To wszystko – nie wydarzyło się nic więcej. Po chwili Vanda wyszła z kuchni w zielonym fartuchu, który sięgał jej prawie do kostek. Otworzyła pudełko, wetknęła przewód do gniazdka, stwierdziła, że soluks działa, i zaczęła go obracać na wszystkie strony, żeby wiedzieć, jak ma się nim posługiwać. Ja z ciekawości rzuciłem okiem na rachunek. No cóż, dziewczyna mnie oszukała.

– Coś się nie zgadza? – spytała Vanda, która nieomylnie wyłapuje zmiany mojego nastroju, nawet kiedy się na tym nie skupia.

– Powiedziała dwieście dziesięć euro.

– I ty jej dałeś?

– Dałem.

– Przecież ci mówiłam, że mamy zapłacić dwieście pięć.

– Wyglądała na uczciwą.

– To była kobieta?

– Dziewczyna.

– Milutka?

– No tak.

– To cud, że cię nabrała tylko na pięć euro.

– Pięć euro to nic takiego.

– Pięć euro to dziesięć tysięcy lirów przed wymianą.

Z zaciśniętymi ustami, jak zawsze kiedy ma mi coś za złe, zaczęła czytać instrukcję. Pieniądze są dla niej bardzo ważne. Całe życie obsesyjnie oszczędzała i jeszcze dzisiaj mimo niesprawności schyla się bez wahania po leżącą na brudnym chodniku jednocentową monetę. Jest jedną z tych osób, które zawsze przypominają, głównie sobie samym, że jedno euro to dawne dwa tysiące lirów i że wobec tego kiedy piętnaście lat temu dwie osoby wybierały się do kina, to wydawały dwanaście tysięcy lirów, a dzisiaj bilet kosztuje osiem euro i dwie osoby muszą wydać na kino trzydzieści dwa tysiące lirów. Dobrobyt, który osiągnęliśmy, a w jakiejś mierze także dobrobyt naszych dzieci, które wciąż jeszcze czasem proszą nas o pieniądze, zawdzięczamy nie tyle mojej pracy, ile jej oszczędzaniu. Dlatego to, że ktoś obcy przywłaszczył sobie nasze pięć euro, musiało ją rozżalić równie mocno, jak mocno ucieszyłoby ją znalezienie pięciu euro przy jakimś zaparkowanym samochodzie...

Była więc niezadowolona, co od razu i mnie się udzieliło.

– Zaraz napiszę mail do firmy – powiedziałem i poszedłem do gabinetu, żeby dać wypożyczalni znać o tym drobnym oszustwie.

Chciałem udobruchać żonę, bo zawsze źle się czułem z jej dezaprobatą, a do tego dołączyła się jeszcze sarkastyczna refleksja, że w moim wieku nie powinienem już być tak głupio urzeczony kobiecymi wdziękami. Włączyłem komputer i przez chwilę przypominałem sobie gesty tamtej dziewczyny, jej głos i jej słowa. Zapamiętałem, jakim serdecznym tonem mówiła: jaki to piękny kot, ile tu książek, i na nowo dziwiłem się, że w taki zachęcający, niemal czuły sposób namawiała mnie, żebym otworzył pudełko i sprawdził rachunek. Najwyraźniej wystarczyło jej rzucić na mnie okiem, by zrozumieć, że z łatwością mnie oszuka.

Kiedy to sobie uprzytomniłem, poczułem rozgoryczenie. Powiedziałem sobie, że całkiem inaczej zareagowałbym parę lat wcześniej (szkoda mi na to czasu, ustalona suma wynosi tyle a tyle, do widzenia), niż zareagowałem dzisiaj (kot nazywa się Labes, książki są mi potrzebne do pracy, ten sześcian kupiłem w Pradze, wszystko się zgadza, dziękuję). Postanowiłem wystukać tylko kilka oschłych słów. Poczułem jednak, że nie mam ochoty się tym

zajmować. Wahając się, pomyślałem, kto wie, jak ta dziewczyna radzi sobie w życiu z taką doraźną, źle płatną pracą, z rodzicami na karku, z wygórowanym czynszem, z koniecznością kupowania sobie kosmetyków i rajstop, z bezrobotnym mężem lub narzeczonym, może z narkotykami. Jeżeli napiszę do firmy o jej oszustwie, na pewno straci nawet tę marną pracę. A w końcu cóż to takiego pięć euro, to tyle co napiwek, który i tak pewnie bym jej dał, gdyby Vanda tego nie widziała. A poza tym jeżeli w tych naszych smutnych czasach dziewczyna, chodząc od domu do domu, będzie ciągle naciągała ludzi i zawyżała rachunki, to wkrótce i tak trafi na kogoś mniej wyrozumiałego ode mnie, kto nie będzie się nad nią roztkliwiał.

Zrezygnowałem z pisania maila do firmy. Vandzie powiedziałem, że go wysłałem, a wkrótce potem przestałem o tym myśleć.

2.

Parę dni później wyjechaliśmy nad morze. Vanda spakowała walizki, ja zniosłem je do auta. Dzień był upalny. Na ulicy nie widziało się samochodów, w domach panowała cisza, okna były pozamykane, a większość drzwi balkonowych miała spuszczone żaluzje.

Spociłem się z wysiłku. Żona chciała mi pomóc, ale jej nie pozwoliłem, ma zbyt kruche kości. Więc tylko stała przy mnie i zarządzała, jak mam ułożyć walizki w bagażniku. Była zdenerwowana – to się powtarzało zawsze, kiedy musiała gdzieś wyjechać i zostawić puste mieszkanie. Tak było i teraz. Mieliśmy spędzić siedem dni nad morzem, w hotelu pod Gallipoli, z pełnym wyżywieniem za znośną cenę, wiedząc, że nie będziemy mieli nic do roboty prócz spania, przechadzek nad morzem i orzeźwiających kąpielii. Ciągle powtarzała swoją starą śpiewkę, że najchętniej zostałyby w domu i na balkonie, w cieniu cytrynowych krzewów, coś sobie czytała.

Mieszkamy w tym domu od trzydziestu lat i za każdym razem, gdy mamy gdzieś wyjechać, Vanda zachowuje się tak, jakbyśmy mieli tu nigdy nie wrócić. Z biegiem lat coraz trudniej namówić ją na jakiś

wyjazd. Zawsze wydaje się jej, że krzywdzi tym dzieci i wnuki. A zwłaszcza z wielką przykrością zostawia w domu Labesa, którego kocha i który tę miłość odwzajemnia. Ja także lubię to nasze zwierzątko, ale nie aż tak, żeby przez kota odmawiać sobie wakacji. Muszę ją więc cierpliwie przekonywać, że kot może poniszczyć sprzęty w hotelu, że może brudzić w pokoju, że będzie dokuczał innym gościom miauczeniem po nocach. A kiedy Vanda godzi się w końcu na rozstanie, muszę mieć pewność, że dzieci zechcą wpadać i go karmić, a także czyścić kuwetę. Ta umowa z dziećmi szczególnie ją niepokoi. Dzieci odnoszą się do siebie źle i nie można narażać brata i siostry na to, że z tej okazji przypadkiem się spotkają. Nigdy nie żyli zgodnie, zaczęło się to już w pierwszych latach ich dorostania, ale zdecydowanie się pogorszyło mniej więcej dziesięć lat temu, po śmierci ciotki Gianny. Starsza siostra Vandy prowadziła życie nieuporządkowane, nie zdobyła się na to, żeby mieć dzieci, ale upodobała sobie szczególnie Sandra i w końcu zostawiła mu pokaźną sumę, podczas gdy Annie tylko bezwartościowe świecidełko. Tak zaczął się ich konflikt. Anna domagała się, żeby pominąć ostatnią wolę ciotki i podzielić spadek na dwie równe części. Sandro się nie zgodził. Dlatego przestali się widywać, a to razem z tysiącem innych problemów ich bezładnego życia wciąż sprawia wielką przykrość matce. Żeby więc nie doszło do tego, że natkną się na siebie, kiedy przyjdzie im zaglądać do Labesa, układam im godziny dyżurów, a Vanda, która nie ma za grosz zaufania do moich talentów organizacyjnych, dokładnie sprawdza ten grafik i wciąż upewnia się, czy jedno i drugie ma klucze do naszego mieszkania. Dopowiadam tutaj to wszystko, żeby pokazać, ile mam z tym kłopotów. Ale teraz oboje z Vandą wracamy w tej opowieści do walizek. Żyjemy ze sobą pięćdziesiąt dwa lata, tak długą nić czasu zwinęliśmy razem w kłębek. Vanda jest kobietą sztucznie energiczną i ma siedemdziesiąt sześć lat, ja mężczyzną sztucznie roztargnionym i mam lat siedemdziesiąt cztery. Ona układa mi życie, nie kryjąc tego przede mną, ja zawsze postępuję zgodnie z jej wolą, nie buntując się. Ona mimo swych dolegliwości jest bardzo aktywna, ja mimo niezłego zdrowia jestem leniwy.

Włożyłem już do bagażnika czerwoną walizkę, ale Vanda tego nie zaakceptowała, woli, żebym najpierw włożył czarną, a na niej umieścił czerwoną. Rozpiąłem koszulę pod szyją, wyjąłem czerwoną walizkę, dysząc, postawiłem ją na asfalcie i dźwignąłem czarną. I właśnie w tym momencie przejechał obok nas jakiś samochód.

Nie można było nie zwrócić na to uwagi, skoro całe miasto było tak wyludnione, światła uliczne zmieniały się niepotrzebnie, słychać było nawet świergot ptaków w koronach drzew. Auto minęło nas i po kilku metrach nagle się zatrzymało. Przez sekundę czy dwie słychać było chrobotanie skrzyni biegów, a potem samochód cofnął się na wysokość naszego z donośnym wizgiem wstecznego biegu.

– To niesłychane! – zawołał mężczyzna zza kierownicy. Miał mocno podkrążone oczy i zepsute zęby. – Człowiek przejeżdża i nagle widzi: ależ to on, tak, przecież to on, stoi sobie na ulicy jak gdyby nigdy nic. Kiedy opowiem o tym ojcu, to go zamuruje.

Wyglądał na zachwyconego, śmiał się z radością. Przestałem się zajmować czarną walizką i próbowałem przypomnieć sobie, do kogo należą te rysy – ten nos, usta, czoło – żeby odgadnąć, kto to taki. Ale nie radziłem sobie: miałem przed sobą ożywioną, wręcz podnieconą twarz człowieka, który nie umie zapanować nad emocjami. Mówił bez chwili przerwy, zalewał mnie słowami, zapewniał, że jego ojciec wspomina mnie z szacunkiem i wdzięcznością, że pomogłem mu w trudnych chwilach, kiedy był jeszcze chłopakiem, i że tamte kłopoty rozwiązały się pomyślnie, a nawet wygląda na to, że sprawy ułożą się jeszcze lepiej. Bez ustanku powtarzał „Jakie to szczęście”, a ja, chociaż nie zrozumiałem, czy kiedyś pomogłem w czymś jemu, czy jego ojcu, czy im obu, w końcu wpadłem na to, że musiał być moim uczniem w tym krótkim okresie, kiedy w młodości uczyłem w liceum w Neapolu, a może moim studentem w tym dłuższym okresie, kiedy pracowałem na uniwersytecie w Rzymie. Zdarzało mi się nieraz spotykać uradowanych nieznanomych mężczyzn, w których dorosłych twarzach, często już poznaczonych zmarszczkami, rozpoznawałem czasem (a częściej udawałem, że rozpoznaję) moich dawnych studentów. No tak, powiedziałem sobie, z pewnością mam do czynienia z kimś takim, i nie chciałem zrobić

mu przykrości, zdradzając, że nie wiem, kim jest. Uśmiechnąłem się serdecznie i spytałem:

- A twój ojciec – jak się czuje?
- Doskonale. Ma jakieś kłopoty z sercem, ale to nic poważnego.
- Pozdrów go ode mnie.
- Oczywiście.
- A u ciebie wszystko, jak trzeba?

– Jak najbardziej. Pewnie pan pamięta, że zawsze chciałem wyjechać do Niemiec? W końcu wyjechałem i tam wreszcie trochę mi się poszczęściło. Jakie miałbym możliwości tutaj, we Włoszech? Żadnych. A tam, w Niemczech, zająłem się przemysłem, pracuję w skórze, produkuję torebki, marynarki, same porządne rzeczy, które nieźle idą.

- Cieszę się bardzo. Ożeniłeś się?
- Jeszcze nie, żenię się na jesieni.
- Gratuluję. I koniecznie pozdrów ode mnie ojca.
- Dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jaką mu tym sprawię przyjemność.

Czekałem, żeby odjechał, ale nie ruszał się. Trwaliśmy przez chwilę z przyklejonymi do twarzy uśmiechami i nie odzywaliśmy się. Nagle pokręcił energicznie głową i powiedział:

- Nie, nie, kto wie, czy jeszcze kiedyś będziemy mieli okazję się spotkać. Muszę dać panu upominek, panu i pańskiej żonie.
- To może innym razem, teraz musimy jechać.
- Pospieszę się, chwileczkę.

Wyskoczył z auta energicznie i otworzył bagażnik.

– Załatwione! – zawołał do Vandy i podał jej lśniąca torebkę, którą żona wzięła do ręki chyba z obrzydzeniem, jakby się bała, że się nią pobrudzi.

A dla mnie ten nieznany mi mężczyzna wyjął marynarkę z czarnej skóry i od razu zarzucił mi ją na plecy, powtarzając:

- W sam raz, w sam raz.

Opierałem się: Nie, mowy nie ma, nie mogę tego przyjąć. Ale on nie zwracał uwagi na moje słowa, odwrócił się do Vandy, chciał jej jeszcze podarować kurteczkę z błyszczącymi kłami.

– To dokładnie pani rozmiar – powiedział bardzo ucieszony.

Próbowałem go powstrzymać: Posłuchaj, jesteś bardzo uprzejmy, raz jeszcze ci dziękuję, ale dajmy już spokój prezentom, zrobiło się późno, będzie tłok na drodze, musimy ruszać. On nagle spoważniał, nie patrzył już radośnie, tylko obojętnie: Proszę bardzo, ruszajcie, nie ma o czym mówić, kiedy można coś dla kogoś zrobić, to się robi, i tyle. Poproszę pana tylko o jeden drobiazg, o parę euro na benzynę, muszę dojechać dziś do Niemiec. Ale wcale nie musi mi pan nic dawać, jeśli pan uważa, że to przesada, to naprawdę nie takie ważne, poradzę sobie, a prezenty, kiedy są prezentami, to prezentami zostają.

Poczułem się zdezorientowany: ojciec, wdzięczność, mały przemysł w Niemczech, interes w rozkwicie, a on mimo to potrzebuje paru euro na benzynę? Odruchowo sięgnąłem po portfel, popatrzyłem, czy mam w nim pięć euro, może dziesięć, ale miałem tylko banknot stueurowy.

– Przykro mi – wydusiłem z siebie.

Ale już pulsowały mi skronie, już gotów byłem rzucić: A właściwie wcale mi nie przykro, zabieraj te swoje rzeczy i jedź, gdzie chcesz. Jemu jednak wystarczył jeden błysk, jedna chwilka. Precyzyjnym ruchem, drapieżnym a jednocześnie spokojnym, wsunął palec wskazujący i kciuk jak szczytce do mojego portfela, chwycił sto euro, wyszarpnął je, patrząc mi w oczy z serdecznym zadowoleniem, i chwilę później siedział już za kierownicą, wołając:

– Dziękuję panu! Ależ mój ojciec będzie szczęśliwy!

Jeśli podstępna gierka dziewczyny od soluksa tylko mnie rozdrażniła, to obecne wydarzenie prawdziwie mnie zabolalo. Jego samochód jeszcze nie zniknął na horyzoncie, kiedy Vanda zawołała z niedowierzaniem:

– Dałeś mu sto euro?

– Nic mu nie dałem, sam sobie wziął.

– Te rzeczy nie są warte nawet paru centów. Powąchaj, jak śmierdzą, to nie jest skóra, to zalatuje dorszem.

– Wrzuć to wszystko do pojemnika na śmieci.

– Mowy nie ma. Oddam do Czerwonego Krzyża.

- Masz rację. Oczywiście.
- Nie, nic tu nie jest oczywiste. Wyrośliśmy w Neapolu, Matko Święta, a ty dajesz się okpić w tak głupi sposób?

3.

Spędziłem za kierownicą dobre parę godzin, zanim dotarliśmy do hotelu nad morzem, mdliło mnie od wstrętnego zapachu marynarki i torebki. Vanda nie mogła się pogodzić z tym, co zaszło. Sto euro, powtarzała, dwieście tysięcy lirów, jak to możliwe? Jednak po pewnym czasie ta przykrość w niej przygasła i w końcu westchnęła z rezygnacją, mówiąc:

- Nic się na to nie poradzi, stało się, nie warto do tego wracać.

Natychmiast dałem jej znak, że myślę tak samo, i przyszła mi ochota powiedzieć coś, co by tę sprawę ostatecznie zamknęło. Ale nie znajdowałem w myślach nic stosownego, a na dodatek zacząłem się czuć tak, jakby każda błaża trudność miała mnie załamać. Może dlatego, że gotów byłem dopatrzeć się czegoś wspólnego w postępkach dziewczyny od soluksa i handlarza z zepsutymi zębami. Im obojgu – myślałem – wystarczył rzut oka na mnie, żeby sobie powiedzieć, że z tym człowiekiem mogą sobie pozwolić, na co tylko zechcą. I miałiby rację, dawałem się oszukiwać zdumiewająco łatwo. Pewnie jakiś system alarmowy we mnie zużył się i przestał funkcjonować. A może, bo i tego nie można wykluczyć, z latami przestałem wyglądać na człowieka, z którym takich sztuczek się nie robi, może teraz jakoś inaczej patrzę, inaczej zacinam usta. A może po prostu coś się we mnie zachwiało, może utraciłem tę bystrą czujność, która w biegu życia pozwoliła mi wydobyć się z rodzinnej biedy, potem wychować dzieci, dostać się do niełatwego środowiska, osiągnąć pewien stopień zamożności i zawsze dostosowywać się do wydarzeń. Nie wiedziałem dokładnie, jak i w jakim stopniu się zmieniłem, ale było dla mnie jasne, że tak się stało.

Dojeżdżaliśmy prawie do celu, kiedy znowu musiałem sobie uprzytomnić, że naprawdę nie zawsze udaje mi się kontrolować delikatny system trafnego wyważania swoich poczynań, który przez dziesięciolecia utrzymywał mnie w równowadze. Teraz, manewrując

w niebezpiecznym wakacyjnym ruchu, próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedyś już zostałem oszukany w podobny sposób, ale nic nie przychodziło mi do głowy. W końcu z pamięci wyłoniło się wydarzenie, w którym wypadłem jak najlepiej. Przerwałem długie milczenie i nie odrywając się od wcześniejszych myśli, zacząłem niespodziewanie opowiadać Vandzie, która drzemała z głową opartą o boczną szybę, jak to kiedyś – było to z pewnością na wiosnę – jechała ze mną do studia telewizyjnego. Nie pamiętałem, w którym roku mogło się to dziać i dlaczego jechaliśmy tam oboje. Może zresztą – mówiłem – nie jechaliśmy do telewizji, może jeszcze nie pracowałem w Rai, po prostu gdzieś jechaliśmy, nieważne gdzie. Na pewno jednak stało się coś takiego, że kiedy dojechaliśmy na miejsce, zapłaciłem taksówkarzowi banknotem o nominale pięćdziesięciu tysięcy lirów, ale on twierdził, że dałem mu tylko dziesięć tysięcy. Zrobiła się awantura, taksówkarz wrzeszczał nawet na Vandę, bo ona także widziała, że podałem mu pięćdziesiąt tysięcy, i chciała mi w tej sprzeczce pomóc. Przybrałem wtedy ton wzgardliwy; potrafię się zdobyć i na taki. Zażądałem od taksówkarza danych personalnych – chciałem znać jego imię, nazwisko i całą resztę – i oświadczyłem, że może sobie te pięćdziesiąt tysięcy zatrzymać, ale pojedziemy prosto na posterunek policji. Ten typ najpierw wysyczał napastliwym tonem wszystkie swoje dane, a potem zaczął mamrotać do siebie jakieś strzępki zdań: A miałem dzisiaj nie ruszać się z domu, coś mnie podkusiło, jestem przeziębiony, i wreszcie wydał mi resztę.

– Pamiętasz? – spytałem Vandę, dumny z siebie.

Żona otrząsnęła się z drzemki i popatrzyła na mnie z zakłopotaniem.

– Coś ci się pomyliło – powiedziała chłodno.

– Przecież było, jak mówię.

– To nie ja jechałam z tobą tamtą taksówką.

Poczułem, że się mocno rumienię od szyi po czoło.

– To na pewno byłaś ty.

– Daj spokój.

– Na pewno zapomniałaś.

– Już ci powiedziałam: daj spokój.

– Może zresztą byłem wtedy sam – wykrztusiłem i umilkłem raptownie, tak samo jak raptownie zacząłem jej o tamtym wydarzeniu opowiadać.

Reszta drogi zeszła nam w milczeniu, byliśmy nadąsani. Humor trochę się nam poprawił po przyjeździe do hotelu, kiedy dostaliśmy pokój z widokiem na plażę i morze. Kolacja była znakomita, a kiedy wróciliśmy do pokoju, stwierdziliśmy, że klimatyzacja nie hałasuje, a materac i poduszki są tak dobrane, że Vanda ze swoim chorym kręgosłupem nie będzie miała kłopotów z leżeniem. Zażyliśmy jak zwykle pastylki i zapadliśmy w mocny sen.

Powoli się rozchmurzyłem. Mieliśmy piękną pogodę przez całe siedem dni, woda w morzu była czysta, dużo pływaliliśmy i dużo spacerowaliśmy. Pola i wsie wyglądały jak z obrazka, morze w pewnych porach dnia miało kolor zielonobłękitny, lśniło w mocnym słońcu, niebo o zachodzie różowiało. I chociaż w bufecie podczas obiadu i kolacji wszyscy się zachłannie tłoczyli, nie zachowując przyzwoitości w zagarnianiu jedzenia, chociaż Vanda mi wyrzucała, że biorę za małe porcje, a w całej jadalni aż dudniło od hałasujących dorosłych i dzieci, chociaż kelnerzy przestrzegali nas, żeby po jedenastej wieczór nie wybierać się na plażę, bo o tej porze jest tam niebezpiecznie, tak że na noc, by tak rzec, zamykano nas i nasze sny za ogrodzeniem ciągnącym się zarówno od strony drogi, jak i od strony morza, to jednak, owszem, wakacje spędziliśmy przyjemnie.

– Jaki miły powiew.

– Taką wodę rzadko się widzi.

– Uważaj na meduzy.

– Widziałeś meduzy?

– Nie, chyba nie.

– To po co mnie straszysz?

– Mówiłem tak sobie.

– Mówiłeś, żeby popsuć mi kąpiel.

– Nie, skądże.

Udało się nam nawet dzięki interwencji Vandy dostać parasol

w pierwszym rzędzie plażowych leżaków. Leżeliśmy na zacienionych łózkach tuż przy drzemiącym morzu, żona czytała książki popularnonaukowe i od czasu do czasu informowała mnie o świecie subatomowym lub o głębokiej przestrzeni galaktycznej, ja powieści i wiersze, które czasami jej cicho czytałem, nie tyle po to, żeby i ona je poznała, ile po to, żeby było mi jeszcze przyjemniej. Po kolacji, na tarasie, zdarzało się nam obserwować razem smugę spadającej gwiazdy i bardzo nas to cieszyło. Podziwialiśmy nocne niebo, zapach powietrza i już w połowie tygodnia nie tylko ta plaża i to morze, ale cała planeta wydawała nam się istnym cudem. W ostatnich dniach tego naszego odpoczynku czułem się naprawdę wspaniale. Byłem szczęśliwy, że od siedemdziesięciu czterech lat stanowią jakiś udany element kosmicznej substancji, która wrze w retortach wszechświata, fragment żywej i myślącej materii, nienatrafiającej przy tym na jakieś znaczniejsze kłopoty i niezaznającej doraźnie jakichś większych przykrości. Jediną dokuczliwością były komary, które nocami cięły głównie mnie, zostawiając w spokoju Wandę, która ciągle mnie zapewniała, że komarów w ogóle tutaj nie ma. Co do reszty, życie było piękne i pięknie było żyć. Sam się zdumiewałem moim optymizmem, do którego nigdy nie miałem skłonności.

Ale w dniu, kiedy mieliśmy wracać (chcieliśmy ruszyć o szóstej rano, żeby uniknąć korków), sytuacja się pogorszyła. Niebo zaciągnęło się chmurami i cały powrót odbył się autostradą bardziej niebezpieczną niż zazwyczaj, w nieustannej ulewie, wśród ciągłych błyskawic i potężnych grzmotów. Cały czas prowadziłem sam, jak poprzednio (Wanda jest słabym kierowcą), i nieraz mi się wydawało, że nie trzymam się swojego pasa i na zakrętach mogę się wpakować pod ciężarówkę lub otrzeć o blaszaną barierę.

- Musimy tak pędzić?
- Nie pędzę.
- Zatrzymaj się, przeczekamy burzę.
- Już mija.
- Matko Boża, ale błysnęło!
- To zaraz usłyszysz grzmot.

- Myślisz, że i w Rzymie tak leje?
- Nie mam pojęcia.
- Labes boi się grzmotów.
- Poradzi sobie.

Żona, która nad morzem wspomniała kota tylko wtedy, gdy telefonowała do Sandra i Anny, żeby usłyszeć, czy wszystko w porządku, teraz przez całą drogę była o niego niespokojna. Labes uosabiał zacisze domowe, do którego chciała jak najprędzej dotrzeć, zwłaszcza że denerwowała ją moja ryzykowna jazda. Niepokój wzmógł się, kiedy się okazało, że w Rzymie także leje, że brudna woda płynie obu stronami jezdnii, tworząc wielkie ciemne kałuże przy rynsztokach. Zaparkowaliśmy na naszej ulicy o drugiej po południu; było nieznośnie gorąco mimo deszczu. Wyładowałem walizki. Vanda chciała trzymać nade mną parasol, ale w ten sposób mokliśmy oboje, więc poradziłem, żeby już poszła do domu. Opierała się, ale w końcu uległa i kiedy z walizkami i torbami, cały przemoczony, stanąłem przy windzie, żona była już na górze, pod drzwiami i zawołała do mnie z podestu schodów:

- Zostaw bagaże i natychmiast wjeżdżaj.
- Coś się stało?
- Nie da się otworzyć drzwi.

4.

Niezbyt się tym przejąłem. Jeśli Vanda chwilę poczeka, pomyślałem, świat się nie zawali, więc powstawiłem walizki do windy, odpowiadając jednocześnie na jej coraz bardziej niecierpliwe wołanie spokojnym tonem: Tak, tak, już wjeżdżam. Dopiero kiedy wyniosłem bagaże na nasz podest, spostrzegłem, że Vanda jest naprawdę przerażona. Przekręciła klucz w zamku, ale drzwi udało jej się zaledwie nieco uchylić.

– Popatrz! – powiedziała, wskazując na szparę między skrzydłem a framugą.

Popchnąłem je silnie, ale nic nie uzyskałem – drzwi się zacięły. Z wysiłkiem wcisnąłem głowę do środka.

- I co? – spytała zaniepokojona Vanda, przytrzymując mnie za

koszulę, jakby się obawiała, że runę w próżnię.

- Straszny bałagan.
- Gdzie?
- W środku.
- Ktoś wchodził do mieszkania?
- Nie wiem.
- Zadzwońię do Sandra.

Uświadomiłem jej, że nasze dzieci pojechały na wakacje: Sandro rano do Francji z dziećmi Corinny, a Anna nie wiadomo gdzie.

– A ja i tak zatelefonuję – powiedziała żona, bo bardziej ufa synowi niż mnie, i zaczęła szukać w torbie komórki.

Nagle przerwała szukanie, bo przypomniała sobie o Labesie, i zawołała go głośno, władczo. Czekaliśmy, ale nadaremnie – kot nie przybiegł, nie zamiauczał. Wtedy razem pchnęliśmy skrzydło drzwi, które mocno się opierało, zgrzytając z oporem o posadzkę, i szpara zrobiła się jeszcze szersza. Wszedłem do środka.

Przedpokój, zazwyczaj nienagannie schludny, był nie do poznania, jakby jakaś powódź przyniosła tutaj kanapę i stół z jadalni i spiętrzyła jedno na drugim. Na podłodze leżało przewrócone na bok szkolne biurko Anny. Powysuwały się z niego szuflady – albo ktoś je wyrwał – leżały na posadzce, jedna płasko, inne na boku, na stercie starych zeszytów, ołówków, długopisów, cyrkli, ekierok, jakichś laleczek pamiętających dzieciństwo naszej córki i lata jej dorastania.

Ostrożnie ruszyłem dalej, zachrzęściły mi pod butami resztki porozbijanych bibelotów. Vanda wołała:

- Aldo, Aldo, co się z tobą dzieje, dobrze się czujesz?

Wróciłem i przyjrzałem się drzwiom. Zacięły się, bo wcisnął się pod nie kawałek któregoś ze skorup rozsypanych na posadzce. Gdy go wyrwałem, drzwi ustąpiły. Vanda weszła do mieszkania niepewnym krokiem, jakby się bała, że może się potknąć i upaść. Była bardzo blada, jej opalenizna lekko zzieleniała. Wydało mi się, że zaraz zemdleje, chwyciłem ją, ale wyrwała się i nic nie mówiąc, szybko poszła do jadalni i do pokoi dzieci, a potem do kuchni, łazienki i sypialni.

Ja z tym zwlekałem. Na ogół w takich trudnych sytuacjach nigdy się nie spieszę, próbuję uniknąć błędnych decyzji. Vanda po chwili zagubienia stara się bardzo energicznie stawić czoło problemom. Zawsze, od kiedy ją znam, tak robiła, tak też zrobiła tym razem. Słuchając odgłosu jej kroków w korytarzu, a potem w pokojach, znowu poczułem, i to z jeszcze większą pewnością, że jestem nieodporny i łatwo się załamuję. Rozejrzałem się dokoła, wsunąłem głowę do mego gabinetu, popatrzyłem uważnie pod nogi, na sztychy, które jeszcze tydzień temu zdobiły ściany, a teraz leżały na podłodze wśród rozbitego szkła, połamanych ramek, oderwanych od ściany półek, porozrzucanych książek i kawałków winylowych płyt. Nie zrobiłem jeszcze kroku dalej, wyciągnąłem tylko z tego śmietnika stary widok Capri, kiedy Vanda była już przy mnie.

– Co ty tu robisz? – powiedziała poruszona. – Nie stój jak słup, chodź, zobacz, jaka katastrofa: wszystko wybebeszone z szaf, wieszaki i ubrania rozrzucone po kątach, nasze łóżko rozgrzebane, ktoś znęcał się nad wszystkimi lustrami, podciągnął wszystkie żaluzje, pootwierał na oścież okna i drzwi balkonowe, ileż owadów i robaków musiało tu wpaść, pewnie weszły nawet jaszczurki, żaby, może myszy. – I nagle się rozplakała.

Zaprowadziłem ją z powrotem do przedpokoju, przesunąłem biurko pod ścianę, postawiłem na podłodze stół, który leżał oparty o kanapę, ustawiłem kanapę i posadziłem na niej Vandę.

– Siedź tutaj – powiedziałem jakimś bezwiednie zniecierpliwionym tonem i zacząłem przechodzić z pokoju do pokoju coraz bardziej zdumiony tym, co widzę.

Nie ocalało ani jedno pomieszczenie, wszystkie były przewrócone do góry nogami. Trzeba będzie wydać mnóstwo pieniędzy i męczyć się przez wiele dni, zanim da się tutaj jako tako mieszkać. Odtwarzacz płyt leżał na podłodze razem z lśniącymi płytami, starymi dokumentami powyciąganymi z teczek i z muszlami – z wieloma muszlami rozbitymi na drobne kawałki przez kogoś, kto po nich deptał. Były to muszle, które Anna zbierała od dziecka i które trzymała w kartonowych pudełkach. Wszędzie, w jadalni, w moim gabinecie, w pokojach dzieci meble, do których byliśmy tak

bardzo przywiązani, ktoś na różne sposoby okaleczył. A w łazience? Jeden chlew: lekarstwa, wata, papier toaletowy, wyciśnięta pasta do zębów, kawałki lustra i porozlewane mydło w płynie. Odczułem całą dotkliwość tej pracy, która spada przede wszystkim na Vandę. To ona dbała o nasz dom, jakby szło o żywą istotę, pilnowała czystości i porządku, zmuszała dzieci i mnie do przestrzegania uciążliwych, ale koniecznych reguł, chciała, żeby każda rzecz była zawsze na swoim miejscu. Wróciłem do niej; wciąż siedziała w przedpokoju w słabym świetle lampki.

- Kto to zrobił?
- Złodzieje, Vando.
- Co nam mogli ukraść? Nie mamy nic wartościowego.
- W tym rzecz.
- Nie rozumiem.
- Nic nie znaleźli i dlatego zdewastowali nam mieszkanie.
- Którędy weszli? Drzwi były zamknięte na klucz.
- Przez balkon, przez okno.
- W kuchni było pięćdziesiąt euro, wzięli je?
- Nie wiem.
- A naszyjnik z pereł po mojej matce?
- Nie wiem.
- Gdzie Labes?

5.

Kot? No właśnie, gdzie się podział kot? Vanda zerwała się z kanapy, zaczęła go szukać poirytowana. Ja też go wołałem, trochę mniej namiętnie. Chodziliśmy po pokojach, wyglądaliśmy przez okna, wychylaliśmy się z balkonu i wykrzykiwaliśmy: „Labes, Labes!”.

- Może spadł – wyszeptała żona.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze, na dole był twardy bruk podwórza. Nie, nie mógł spaść, pocieszałem Vandę, gdzieś się zawieruszył, schował się, bo się wystraszył. Bał się tych obcych w naszym domu. Czuł do nich niechęć na samą myśl, że dotykają naszych rzeczy, jak my teraz. Vanda z nagłą spytała:

- A może go zabili? – i nie czekała, co jej na to odpowiem, bo już

patrzyła na sprawę Labesa inaczej: – Ależ tak, na pewno go zabili.

Przestała nawoływać, zaczęła z przejęciem przeszukiwać całe mieszkanie. Przesuwała rzeczy, zaglądała pod poprzewracane meble, omijała te, które stały na swoim miejscu. Próbowałem ją wyprzedzać w tym szukaniu. Złodzieje mogli rozprawić się z kotem tak, jak w swoim bezsensownym zapamiętaniu rozprawili się z meblami. Wolałem znaleźć martwego Labesa pierwszy i może nawet umiałbym to jakoś przed nią ukryć. Poszedłem do garderoby, gdzie trzymamy zimowe rzeczy, i przez chwilę byłem pewien, że widzę nasze okaleczone zwierzę powieszona między kurtkami, jak w jakimś filmie grozy. Ale się myliłem, były tu tylko oznaki takiego samego bałaganu jak wszędzie, zerwane metalowe wieszaki, zrzucone na podłogę ubrania. Po Labesie ani śladu.

Vandę to wyraźnie pocieszyło. Nie tylko mogła mieć nadzieję, że kot żyje, ale też zabrawszy się do dalszych poszukiwań, ze zdumieniem znalazła w szufladce, gdzie zawsze go trzymała, naszyjnik z pereł po swojej matce – tę jedyną ozdobę, której nigdy nie nosiła – a pod zlewem w kuchni, pod warstwą proszku do prania pięćdziesiąt euro, które zostawiła na szafce. Złodziei od razu uznała za głupców. Wszędzie się dobierali, poniszczyli wszystko, szukając Bóg wie jakich skarbów, a nie znaleźli tych dwóch rzeczy, które mogliby ukraść: naszyjnika z pereł i pięćdziesięciu euro. No to nie jest tak źle, pocieszałem ją, dość już tego naszego szamotania się. Wszedłem do mojego gabinetu, wychyliłem się z balkonu, przeszedłem do jadalni, bo chciałem zrozumieć, jak dostali się na drugie piętro, a ukradkiem, żeby Vanda się nie zorientowała, wypatrywałem szczątków Labesa na podwórzu. Co to takiego ta ciemna plama na dachu parterowej przybudówki? Czy możliwe, że to krew, której ulewa nie zmyła?

Nabrałem przekonania, że złodzieje – we dwójkę, we trójkę – wspięli się po rynnie na gzyms i stamtąd dostali się na nasz balkon. Żaluzja była podciągnięta, a drzwi, już dość stare, wyłamali, nie wybijając szyby i wygodnie weszli do środka. Nie zabezpieczyliśmy lepiej mieszkania, ale po co mielibyśmy to robić, skoro nie mieliśmy w nim nic do zabezpieczania? Wróciłem do pokoju. Bardziej niż to,

że tak okropnie zdewastowali nam mieszkanie, niepokoiła mnie cisza w całym budynku. Ani ja, ani Vanda nie mogliśmy się z nikim podzielić naszą krzywdą, nikomu pokazać, co nam zrobili, i wyjawić upokorzenia, jakiego doznaliśmy, krótko mówiąc, nie mogliśmy odczuć solidarności i wysłuchać życzliwych porad, by się upewnić, że sąsiedzi obdarzają nas sympatią. Większość z nich była jeszcze na wakacjach, nie słyszało się kroków i rozmów, nikt nie trząsał drzwiami, tak że wszystko w tej deszczowej szarości wydawało się widmowe. Vanda jak gdyby odczytała moje myśli i powiedziała:

– Wnieś walizki do środka, a ja zobaczę, czy jest Nadar.

I nawet nie czekała na moją zgodę; było zrozumiałe, że nie ma siły przebywać w tym mieszkaniu tylko ze mną. Słyszałem, jak schodzi na dół, jak zatrzymuje się na pierwszym piętrze i puka do drzwi naszego sąsiada, wieloletniego przyjaciela, jedyne w naszym budynku, który na ogół nigdy nie wyjeżdżał latem na wakacje.

Wniosłem bagaże do mieszkania. W tym chaosie wydały mi się jedynym okruczem porządku, jedyną rzeczą należącą do nas i chociaż była w nich głównie brudna bielizna, jedyną rzeczą nieskażoną. Słyszałem wyraźnie głos żony i głos sąsiada. Vanda mówiła z ożywieniem, a Nadar od czasu do czasu wchodził jej w słowo swoim cichym tonem dostojnej osoby. Był emerytowanym urzędnikiem sądowym, miał dziewięćdziesiąt jeden lat, przyjaźnił się z nami bardzo blisko, odznaczał się mimo podeszłego wieku nadzwyczaj przytomnym umysłem. Wszedłem na podest, popatrzyłem w dół, w pustą przestrzeń między schodami. Nadar opierał się na lasce; zobaczyłem kępki jego siwych włosów wokół łysiny. Wypowiadał pocieszające zdania o wyszukanej składni i donośnym głosem, właściwym ludziom głuchym. Chciał być w czymś pomocny, przypomniał sobie, że słyszał jakieś hałasy, ale nie w środku nocy, raczej z wieczora. Pomyślał, że to pewnie grzmoty, bo w Rzymie padało nieprzerwanie aż do wczoraj. Ale był też pewien, że wyraźnie dochodziło go miauczenie, i to przez całą noc.

– Skąd? – od razu zapytała Vanda.

– Z podwórza.

Żona podniosła głowę, zobaczyła mnie wychylonego przez poręcz.

– Zejdź! – zawołała. – Nadar słyszał z podwórza miauczenie.

Dołączyłem do nich niechętnie. Gdyby szło tylko o mnie, to w tamtej chwili zamknąłbym mieszkanie i wróciłbym nad morze. Nadar uparł się, że pójdzie szukać Labesa razem z nami, chociaż przekonywałem go, że to zajęcie nie dla niego, bo w dalszym ciągu padało. Kręciliśmy się po podwórzu we trójkę, nawołując kota. Nie umiałem się skupić. Myślałem: Jak to dobrze, że deszcz zmył ślady krwi. Myślałem: Nie znajdziemy go, gdzieś się ukrył, żeby w spokoju umrzeć. Obserwowałem cały czas naszego sąsiada, chudego, przygarbionego, z różową, nieco napiętą skórą na czole i na policzkach. Tak będę wyglądał w przyszłości, zakładając, że mam jeszcze przed sobą tyle lat. Dalsze dwadzieścia. Dwadzieścia: ja i Vanda, Vanda i ja, czasami Sandro z dziećmi, czasami Anna. Trzeba doprowadzić do porządku mieszkanie, przywrócić jakiś ład, zamiast tracić tutaj czas.

Nadar klepnął się w czoło, przyszło mu do głowy coś ważnego. Powiedział:

– Ktoś dzwonił do was wiele razy w tych dniach.

– Kto?

– Nie wiem. Słyszałem tylko, że dzwoni wasz domofon.

– Nasz?

– Tak, wasz.

Zakpiłem:

– Słyszysz u nas dzwonek domofonu, a nie słyszysz, jak złodzieje dewastują nam mieszkanie.

– To z winy głuchoty – bronił się. Przyzwyczał się wsłuchiwać bardzo uważnie w nikłe odgłosy, a nie słyszy albo ledwo słyszy większe hałasy.

– Ile razy dzwoniłi?

– Pięć, sześć. Kiedyś po południu nawet się wychyliłem z okna, żeby zobaczyć, kto do was dzwoni.

– I kto to był?

– Dziewczyna.

Ponieważ Nadar mówił „dziewczyna” także o mojej żonie, poprosiłem, żeby mi tamtą dziewczynę lepiej opisał. Ale nie zapamiętał jej dokładnie.

– Mała, brunetka, mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Powiedziała, że musi wrzucić do skrzynek ulotki. Nie otworzyłem jej.

– Jesteś pewien, że dzwoniła właśnie do nas?

– Na pewno.

– Co jeszcze?

– Jeszcze raz ktoś dzwonił wczoraj wieczorem.

– Ta sama dziewczyna?

– Czy ja wiem? Widziałem dwie osoby.

– Dwie dziewczyny?

– Mężczyznę i dziewczynę.

Vanda dała mi znak, stała przy fontannie. Na jej szczupłej, bardzo bladej twarzy odcinały się mocno zielone oczy. Rzuciła:

– Tutaj leży zdechły ptaszek.

Tylko ja mogłem zrozumieć, co ma na myśli. Labes polował bardzo sprawnie na wszystko, co fruwa. Zostawiłem Nadara, podszedłem do Vandy. Deszcz przykleił jej siwe włosy do głowy.

– To chyba nic nie znaczy – powiedziałem. – Wracaj do domu, ja idę na policję.

Ale żona tylko pokręciła energicznie głową, uparła się, żeby iść ze mną. Nasz sąsiad, który niezmiennie przypisywał sobie autorytet urzędnika sądowego, jakby nie minęło dwadzieścia lat, od kiedy przeszedł na emeryturę, uznał, że może być przydatny. Ruszył razem z nami.

6.

Zjawiliśmy się z ociekającymi parasolami na najbliższym posterunku policji; przyjął nas w malutkim biurze młody chłopak w mundurze, bardzo uprzejmy. Nadar od razu mu się przedstawił: imię, nazwisko, Nadar Marossi, i co najważniejsze zawód: przewodniczący sądu apelacyjnego. Wyjaśnił pokrótce, co zaszło, opisując całe wydarzenie z wiarygodną lapidarnością, ale potem rozpoczął opowieść o sobie, o swojej karierze zawodowej w zawiłych czasach

naszego dwudziestego wieku. Młody policjant słuchał go tak, jakby wstąpił do Hadesu i miał do czynienia z gadaniną zmarłych.

Próbowałem kilkakrotnie wtrącić się do dziejów Nadara i skierować rozmowę na opis stanu, w jakim zastaliśmy mieszkanie, a kiedy wreszcie mi się to udało, sam nie umiałem się powstrzymać. Co prawda przechwałki naszego sąsiada bardzo mnie zawstydziły, ale chciałem, żeby ten chłopak wiedział, że ja także nie jestem kimś pospolitym. Powtórzyłem więc policjantowi dwukrotnie, a może nawet trzykrotnie moje nazwisko – Aldo Minori, Aldo Minori, Aldo Minori – żeby sprawdzić, czy robi to na nim jakieś wrażenie. A ponieważ chłopak nie reagował, zacząłem mu opowiadać o programie telewizyjnym w latach osiemdziesiątych, który stworzyłem właściwie samodzielnie i który przyniósł mi dość znaczny rozgłos. Jednak policjant, który w tamtym czasie albo jeszcze się nie urodził, albo miał parę lat, nigdy nie słyszał o tamtym programie ani o mnie. Uśmiechnął się zakłopotany i z autorytetem, którym wreszcie i on mógł się przed nami wykazać, a który zarówno Nadar, jak i ja już dawno utraciliśmy, powiedział spokojnie:

– Wróćmy do rzeczy.

Było mi przykro – na ogół uważnie dobieram słowa i nie pozwalałam sobie na wylewne gadulstwo – więc tylko powtórzyłem, że złodzieje zdewastowali nam mieszkanie. Jednak po chwili znowu się pogubiłem i zacząłem mu chaotycznie opowiadać o dziewczynie od soluksa, która wzięła ode mnie pięć euro więcej, niż należało, i o mężczyźnie, który przed tygodniem oszukał mnie dosłownie tuż pod naszym domem. Mało tego: wciągnąłem w tę relację Nadara i kazałem mu powiedzieć o dziewczynie, która dzwoniła do nas przez domofon kilka razy w ciągu tego tygodnia i którą wczoraj wieczór zobaczył przez okno pod domem. Nadar ucieszył się, że znowu doszedł do głosu, i zaczął opowiadać z całkiem zbędnymi szczegółami o każdej kolejnej rozmowie przez domofon. Przerwał dopiero wtedy, kiedy zorientowaliśmy się, że za naszymi plecami otworzyły się drzwi i jakiś inny policjant porozumiewa się na migi z naszym. Chłopak roześmiał się, z trudem się opanował, wykrztusił przeprosiny i wreszcie spytał:

– A co wam ukradli?

– Co nam ukradli? – powtórzyłem jego pytanie, zwracając się do Vandy.

A ona, która dotąd nie odezwała się ani słowem, powiedziała cicho:

– Nic.

– Może złoto? – spytał policjant.

– Ze złota mam tylko te kolczyki, które stale noszę.

– I nie ma pani innej biżuterii?

– Mam naszyjnik z pereł po matce, ale go nie znaleźli.

– Był dobrze schowany?

– Nie.

Wtrąciłem się:

– Złodzieje przewrócili wszystko do góry nogami, ale dość bezmyślnie, bo nie znaleźli nawet pięćdziesięciu euro, które żona trzymała w szufladzie kuchennej szafki. Te pieniądze, wyrzucone na podłogę, leżały pod warstwą wysypanego proszku do prania.

Młody policjant wydawał się zawiedziony i zaczął rozmawiać głównie z Nadarem. To Cyganie, powiedział, ich dzieci wchodzą do mieszkania przez okna i balkony, przyciągają meble pod drzwi wejściowe, żeby je zablokować na wypadek pojawienia się właścicieli, i wszystko przetrząsają: szukają złotej biżuterii, drodzy państwo, a jeżeli nic nie znajdują, mszczą się i wszystko niszczą. Wyjaśniłem, że u nas żadne meble wejścia nie blokowały, a drzwi zacięły się tylko przez jakieś skorupy, które się pod nie wsunęły. Dodałem jeszcze, że może dobrze by było, gdyby kogoś posłał na miejsce, bo może, dajmy na to, zostawili jakieś odciski palców. Policjant, słysząc to, stracił cierpliwość. Wygłosił stanowczym tonem i wyuczonymi w szkole policyjnej zdaniami, że filmy w telewizji to jedno, a rzeczywistość – drugie, że tego rodzaju wypadki zdarzają się często i że mieliśmy wiele szczęścia, bo mogli nas zabić, gdy spaliśmy. Powiedział też, że rząd wzmacnia wojsko kosztem sił porządkowych, co w okresie coraz większego kryzysu dzieje się ze szkodą dla obywateli, a może nawet – kto to może wiedzieć – dla demokracji. Dał nam do zrozumienia, że skoro ktoś w poprzednim

okresie był sędzią lub pracował w telewizji, tym samym dowodzi, że także ponosi odpowiedzialność za dzisiejszy tak niebezpieczny świat. Doradził nam na koniec, żebyśmy założyli w oknach kraty, a w mieszkaniu taki system alarmowy, który przy najmniejszej próbie włamania daje znać najbliższemu patrolowi policyjnemu.

– Powinniście to zrobić – dodał z umyślną ironią – chociaż nie wiem, po co by wam to było, skoro w domu nie macie nic do ukradzenia.

Vanda zaczęła się wiercić na krześle i rzuciła:

– Nie możemy odnaleźć kota.

– Aha.

– Zabrali go ze sobą?

– A po co?

– Nie wiem, może dla okupu.

Policjant uśmiechnął się do niej z sympatią, jakiej nie okazał ani mnie, ani Nadarowi.

– Wszystko jest możliwe, pani Minori – powiedział – ale teraz proszę się wyzbyć przykrych myśli i doszukać się w tym wszystkim strony pozytywnej: to wydarzenie to dobra okazja, żeby od nowa uporządkować całe mieszkanie, pozbyć się rzeczy zbędnych, odnaleźć zapomniane, a przydatne. A co do kota, to może skorzystał z okazji i wybrał się na kotki.

Zaśmiałem się, Nadar także.

Vanda nie.

7.

Kiedy wróciliśmy do domu, już przestało padać. Kosztowało nas trochę trudu, by pozbyć się towarzystwa sąsiada, który chciał wjechać na nasze piętro i osobiście stwierdzić, jak wygląda mieszkanie po katastrofie.

– Ten stary dureń – złościła się Vanda – zanudzał policjanta swoimi przechwałkami, ty zresztą nie zachowałeś się dużo lepiej.

Nie wdałem się z nią w sprzeczkę, ale przykro mi było, że muszę jej przyznać rację. Pomogłem porządkować kuchnię, przynajmniej z grubsza, Vanda jednak szybko odesłała mnie do siebie, bo jak

twierdziła, tylko jej przeszkadzam w pracy. Wyszedłem na balkon w gabinecie. Miałem nadzieję, że po tak długiej ulewie powietrze trochę się odświeży, ale wciąż było duszno, a dokuczliwa mętna mżawka nasączała wilgocią włosy i koszulę.

Vanda wezwała mnie na kolację może zanadto rozkazującym tonem. Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. W pewnej chwili znowu zaczęła mówić, że koniecznie trzeba zatelefonować do dzieci, a ja znowu się temu sprzeciwiłem, przypominając, że i tak mają już dość pogmatwane życie, więc lepiej zostawić je w spokoju, przynajmniej w okresie wakacji. Sandro pewnie dopiero dojechał do swoich teściów w Prowansji, a Anna jest chyba na Krecie z jakimś, kto wie jakim, nowym chłopakiem. Nie zwracajmy im głowy sobą, powiedziałem, ujmując się za nimi, ale Vanda mimo to postanowiła wysłać obojgu przynajmniej maile, parę zwykłych słów, ot tyle: „U nas byli złodzieje, nie możemy znaleźć Labesa”. Anna odpowiedziała natychmiast, jak zwykle zwięźle: „O Boże, szkoda mi Was, straszna przykrość, ale nie zamęczajcie się”, natomiast Sandro, także jak zwykle, odezwał się dopiero po godzinie, przysyłając starannie sformułowaną odpowiedź. Był w naszym mieszkaniu poprzedniego wieczoru, zgodnie z ustaleniami, przebywał w nim od dwudziestej pierwszej do dwudziestej pierwszej trzydziści i radzi nam, żebyśmy o tym dali znać policji, bo wieczorem mieszkanie było nietknięte i Labes cieszył się dobrym zdrowiem. Na koniec dodał parę serdecznych słów i namawiał, żebyśmy przynajmniej na pierwszą noc poszli spać do hotelu.

Vandę bardziej pocieszały te odpowiedzi niż moja obecność, która ją wyraźnie coraz bardziej irytowała. Po kolacji zabraliśmy się do porządkowania sypialni i znienacka znowu sobie przypomniałem tamtą historię z taksówkarzem i reakcją na nią żony. Pomyślałem z niepokojem, że w tym bałaganie porozrzucanych wszędzie rzeczy Vanda może się natknąć na coś z tamtych moich spraw, które są dla niej przykre, i będzie tym dotknięta. Gdy łóżko było już jako tako przygotowane do spania, namówiłem ją, żeby się położyła.

– A ty?

– Jeszcze zajmę się trochę jadalnią.

– Tylko nie hałasuj.

Zaraz poszedłem sprawdzić, czy metalowy sześcian kupiony w Pradze kilkadziesiąt lat temu wciąż stoi na swoim miejscu, na najwyższej półce regału w moim gabinecie. To ten przedmiot zrobił wielkie wrażenie na dziewczynie od soluksa, kubik z granatową emalią mający dwadzieścia centymetrów u podstawy i dwadzieścia wysokości. Vandzie ten sześcian nigdy się nie podobał, ja go lubiłem. Kiedy przenieśliśmy się tutaj, do nowego mieszkania, zapewniłem żonę po długiej sprzeczce, że postawię go gdzieś wysoko, obok innych ozdobnych przedmiotów, które raczej nic mnie nie obchodzą. Pozornie po to, żeby jej sprawić przyjemność. Ustawiłem więc sześcian głęboko na półce, tak że z dołu był mało widoczny. W rzeczywistości liczyłem na to, że Vanda z czasem całkiem o nim zapomni. Nie wiedziała, że wystarczy mocno nacisnąć środek jednej ścianki, żeby ta otworzyła się jak drzwiczki, i naturalnie nie wiedziała również, że właśnie dlatego ten przedmiot kupiłem – by trzymać w nim swoje sekretne skarby. Teraz stwierdziłem z ulgą, że sześcian, chociaż stoi niebezpiecznie wysunięty za krawędź półki, wciąż jest na swoim miejscu.

8.

Zamknąłem uważnie drzwi oddzielające salon i gabinet od kuchni. Z obojga szeroko otwartych drzwi balkonowych dochodził wreszcie zapach świeżego deszczu i bazylii. Vanda już spała i musiałem zachowywać się cicho. Ostatnio każdy drobny kłopot budził we mnie jakąś obsesję, osadzał się natychmiast w myślach i rósł, a ja nie umiałem sobie z nim poradzić. Zauważyłem, że znowu zaczynam podejrzewać o współnictwo mężczyznę, który wyrwał mi sto euro, i dziewczynę, która mnie oszukała na pięć euro. Przyszło mi do głowy, że mogli być ze sobą w zмовie, że zorganizowali to włamanie razem albo że przynajmniej sprzedali nasz adres złodziejom. To podejrzenie wydało mi się bardzo prawdopodobne i od razu ta para, która zgodnie z opowieścią Nadara kilkakrotnie dzwoniła do naszego mieszkania domofonem, miała teraz ich twarze. Pomyślałem też, że pewnie nie zadowolili ich pierwsza

próba włamania, więc postanowili wysłać osobników bardziej doświadczonych albo wtargnąć osobiście raz jeszcze. Wobec tego uznałem, że nie powinienem kłaść się spać, tylko spokojnie na nich poczekać.

Ja? Poczekać na nich? A skąd wziąć siły, skąd stanowczość? Od pewnego czasu wyraźnie czułem, jak ciąży mi mój wiek. Musiałem się pogodzić nie tylko z tym, że na schodach nie mogę brać dwóch stopni na raz, bo przez to można upaść, nie tylko z tym, że słuch pogorszył mi się bardziej niż Nadarowi, ale także z tym, że już nie mogę liczyć na instynktowną reakcję organizmu w razie jakichś okoliczności nagłych lub niebezpiecznych. A właściwie było ze mną jeszcze gorzej. Miałem na przykład pewność, że przed chwilą zażyłem lekarstwo, że zakręciłem gaz lub kran, a w istocie tylko pomyślałem, żeby to zrobić. Sen sprzed wielu dni uznawałem po części za fakt, który miał miejsce w rzeczywistości. Coraz częściej zdarzało mi się mylić słowa w czytanej książce, a niedawno nie zrozumiałem drukowanej informacji umieszczonej na bramie – wydało mi się, że napis mówi: DO KATASTROFY ADWOKACKIEJ, a tymczasem mówił: DO KANCELARII ADWOKACKIEJ. No a w tych ostatnich dniach najwyraźniej okazało się, że inni dobrze wiedzieli, jak zmylić moją naturalną czujność, i to wykorzystali. Czułem się z tej przyczyny śmiesznie żałosny i powtarzałem sobie tylko: No cóż, postarzałeś się, coś ci się mąci, musisz się trochę pozbierać, a teraz najlepiej zrobisz, idąc spać.

Wróciłem jednak do porządkowania, tyle że nie wiedziałem, od czego zacząć. Uważnie obejrzałem gabinet i salon i zdecydowałem, że przeniosę do przedpokoju to wszystko, co trzeba będzie wyrzucić. Sprawdziłem, w jakim stanie są komputery, ale oba jakimś cudem działały, popsute były tylko odtwarzacze płyt i filmów. Przesunąłem szczołkę w jedną stronę to, co ponieważ się na podłodze – książki, skorupy wazonów, szczątki bibelotów, stare fotografie, stare kasety VHS, płyty winylowe, niezliczone notesy Vandy, różne CD i DVD, kartki, jakieś dokumenty, rozmaite drobiazgi, słowem wszystko, co złodzieje powyrzucali z pudełek, szuflad, regałów – tak by to wszystko leżało na stercie pod ścianą.

Zmęczyło mnie to zajęcie, ale w końcu popatrzyłem na posprzątane miejsce z zadowoleniem. Postanowiłem zatem uporządkować tak samo rzeczy w moim gabinecie. Z trudem usadowiłem się na podłodze i przesuwałem skorupy do skorup, książki do książek, papiery do papierów i tak dalej. Z początku szło mi to sprawnie. Przykro mi było stwierdzić, że kilka książek przedarto na pół, z innych zerwano okładki, jeszcze inne pewnie same się rozsypały. Zachowywałem zimną krew i oddzielałem książki w dobrym stanie od zniszczonych. Wkrótce jednak nie umiałem się powstrzymać i zacząłem niektóre z nich kartkować i niemal bezwiednie czytać te fragmenty, które kiedyś nie wiadomo po co podkreśliłem. Zaciekawilo mnie, dlaczego zaznaczałem tylko pojedyncze słowa. Co mnie skłoniło, żeby umieścić wykrzykniki przy jakimś fragmencie, który teraz, czytany na świeżo, nie wydawał mi się istotny. Zapomniałem, że wziąłem się do porządkowania po to, by Vandy, kiedy wstanie, nie przygnębił widok bałaganu, zapomniałem, że w gruncie rzeczy siedzę tu, bo nie chciało mi się spać, bo było duszno, bo nie czułem się bezpieczny, bo bałem się, że złodzieje wrócą, przestraszą nas, przywiążą do łóżka i będą bić. A tymczasem bezsensownie zajmowałem się swoimi podkreśleniami. Czytałem nawet całe stronice, zastanawiałem się, którego roku ciekawiła mnie jedna książka, którego inna (w 1958 czy w 1960, czy w 1962, przed małżeństwem czy później?), nie tyle śledziłem stan świadomości autorów (ich nazwisk przeważnie nikt już nie pamiętał, ich książki straciły aktualność, bo ich koncepty były dla dzisiejszych trendów bezwartościowe), ile odgadywałem stan mojej świadomości i wszystko, co kiedyś uważałem za zgodne z moimi przekonaniem, moimi myślami, moim tworzącym się ego.

Noc zrobiła się już bardzo cicha. Naturalnie nie identyfikowałem się z żadnym podkreśleniem, z żadnym wykrzyknikiem (co się dzieje z pięknymi zdaniami, które zachowujemy w pamięci, na ile nas ożywiały, na ile potem stały się niedorzeczne lub niezrozumiałe, lub wstydlive, lub żalose?), i w końcu jakoś się od książek oderwałem. Zacząłem wkładać do szuflad albo do teczek kartki, notatki z lektur, zeszyty z powieściami lub opowiadaniem, które napisałem, nie

mając jeszcze dwudziestu lat, niezliczone wycinki z gazet z moimi artykułami, jak też z tymi, które mnie dotyczyły. Do tych niezliczonych papierów dołączałem taśmy z audycji radiowych, kasety i płyty DVD, na których można było oglądać mnie w moich złotych latach, bo wszystko to Vanda skrupulatnie przechowywała, chociaż nigdy nie okazywała szczególnego zainteresowania temu, co robię. W ten sposób odzyskałem teraz wgląd w to, co wypełniło moje dość długie życie. Czyżby zawierało się ono w tych elementach? W tych podkreśleniach ocalałych w książkach, na tych karteczkach z ich tytułami i cytatami (choćby takimi: „Nasze miasta są jak obory dla zwierząt, a rodziny, szkoły, kościoły jak rzeźnie dla naszych dzieci; koledzy i uczelnie nie różnią się od kuchni, bo także wymagają przyrządzania jak potrawy. W dojrzałych latach, w pożyciu małżeńskim, w prowadzonych interesach karmimy się już produktami prefabrykowanymi” lub: „Pojawienie się miłości wprowadza inny ład w naszym życiu społecznym”)? Czyżbym wyrażał siebie w tej rozwlekłej, przegadanej powieści napisanej w młodości, w której ukazywałem chłopca zmuszonego do harowania w dzień i w nocy, bo miał kupić swojemu ojcu tyle kilogramów złota, ile ojciec ważył, aby dzięki temu uwolnić się od niego i od całej rodziny, z której pochodził? Czyżbym wyrażał siebie w tych artykułach o zarobkach chemików, opublikowanych w latach siedemdziesiątych, albo w szkicach polemicznych o formach partii, albo w recenzjach książek rozważających kwestię pracy robotnika przy taśmie produkcyjnej, albo w drobnych zabawnych felietonach o codziennym życiu w wielkim mieście, o ruchu ulicznym i niekończących się kolejkach w banku i na poczcie, albo w szkicach, w których wcielałem się w ironicznego obserwatora życia, co wówczas przyniosło mi pewien rozgłos, a z czasem stopniowo zrobiło ze mnie popularnego dziennikarza telewizyjnego? Czyżbym wyrażał siebie w tych rozsądnych wywiadach, których udzielałem na prawo i na lewo i krytykowałem przychylnie Iksa, a niezyczliwie Igreka, albo w tym wszystkim, co wymyślałem dla telewizji w latach osiemdziesiątych, albo czyż to byłem ja, który właśnie przechadzał się po dekoracji przedstawiającej narożnik tarasu, oświetlonej

reflektorami symulującymi słoneczny dzień i wypowiadał się tamtym głosem sprzed trzydziestu lat, dywagującym, uprzejmym, nieco wyniosłym? Pamiętam, ile musiałem się namęczyć, poczynając od lat sześćdziesiątych, ile mozolnej pracy włożyć w to, żeby – jak to mówią – zrealizować się. I tak wygląda ta moja samorealizacja? To ową samorealizacją są przez dziesiątki lat gromadzone sterty kartek zapisanych ręcznie lub na maszynie, to nią są te ślady w postaci podkreśleń w książkach, kartek z notatkami, artykułów, gazet, płyt, plików, twardego dysku, danych w chmurze? Tak wyglądam ja zrealizowany, ja zmieniony w realny fakt, czyli w ten nieład, który wydostałby się z naszego salonu, gdybym wystukał w wyszukiwarce „Aldo Minori” i wtargnął do archiwów Google’a?

Zakazałem sobie dalszego kartkowania i czytania. Zacząłem ten bałagan porządkować. Włożyłem z powrotem do kartonowych pudeł mnóstwo notesów Vandy: same cyfry, pedantycznie zarejestrowana historia finansowa naszej rodziny od roku 1962 do dziś na kartkach w kratkę, na których dokładnie zapisywała przychody i wydatki – może, jeśli Vanda się zgodzi, czas najwyższy te notesy wyrzucić? Zgromadziłem na środku pokoju książki, których chciałem się pozbyć, a te, które uznałem za wartościowe, ułożyłem prowizorycznie na półkach nieuszkodzonego przez złodziei regału. Położyłem na stole teczki z wycinkami gazetowymi, pudełka z zeszytami, z VHS i z DVD. Wrzuciłem resztki rozbitych bibelotów do worka na śmieci, ale worek zaraz przedarł się w trzech miejscach i musiałem włożyć go w drugi. Na koniec zacząłem zbierać na kupkę fotografie – obrazki z zamierzchłych lat przemieszane z obrazkami z lat ostatnich.

Starych zdjęć od dawna nie oglądałem; wydały mi się teraz brzydkie i raczej nieciekawe. Już nawykłem do fotografii cyfrowych i oboje z Wandą mieliśmy ich bardzo dużo w komputerach: mogłem oglądać na niezliczonych obrazkach góry, pola, motyle, róże w pączkach, róże ledwo rozkwitłe, morze, miasta, zabytki, obrazy, rzeźby, a prócz tego całą naszą rodzinę, nieaktualne już synowe i nieaktualnych zięciów, nowych wybrańców naszych dzieci i nasze wnuki uchwycone w różnych okresach życia, i małych przyjaciół

naszych wnuków. Inaczej mówiąc, samo życie, które nigdy wcześniej nie było aż tak obficie rejestrowane. Teraźniejszość i czas niedawno miniony. A tamten miniony dawno, historyczny, lepiej było zostawić w spokoju.

Staralem się nie patrzeć na tych zdjęciach na siebie, nie podobam się sobie teraz, na starość, ale też nigdy nie podobałem się sobie w młodości. Rzucałem tylko okiem na Sandra i Annę w tamtych czasach, gdy byli bardzo młodzi. Jakże byli piękni! Przypatrywałem się ich wybrańcom z tamtych lat, tej sympatycznej młodzieży, która szybko gdzieś się zapodziała. Pojawiali się przyjaciele moi i Vandy, o których już nie pamiętałem, osoby, z którymi spotykaliśmy się często, a potem wyleciały nam z głowy ich imiona i wspominaliśmy ich bez sympatii po nazwisku. Zwróciło moją uwagę zdjęcie zrobione na naszym podwórzu, nie wiadomo przez kogo, pewnie przez Sandra. Pochodziło z pierwszych lat po przeprowadzce do tego domu. Razem ze mną i Wandą stoi Nadar, który wtedy, jak wyliczyłem, musiał już być po sześćdziesiątce, ale w porównaniu z Nadarem obecnym wydawał się młody. Jak bardzo człowiek zmienia się nawet w podeszłych latach, powiedziałem sobie, wpatrując się przez chwilę w zdjęcie. Nasz sąsiad jest na tej fotografii wysoki, przystojny, ma jeszcze trochę włosów na głowie. Już odkładałem odbitkę, kiedy nagle zatrzymała mnie podobizna Vandy. Przez moment miałem wrażenie, że jej nie poznaję, i to mnie bardzo zaskoczyło. Ile lat mogła wtedy mieć: pięćdziesiąt, czterdzieści pięć? Zacząłem patrzeć na inne jej zdjęcia, głównie te czarno-białe. Potwierdzało się wrażenie, że patrzę na kogoś obcego. Poznałem Wandę w roku 1960, miałem dwadzieścia lat, ona dwadzieścia dwa. Z tamtego okresu nie zostało mi w pamięci nic albo prawie nic. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek uważałem ją za piękną, bo w tamtych latach kobiece piękno uchodziło za rodzaj pospolitości. Mam pewność, że mi się podobała, miała wiele wdzięku, z pewnością jej pożądałem. Była dziewczyną bardzo inteligentną, błyskotliwą. Zakochałem się w niej z powodu tych jej cech, ale też dlatego, że wydawało mi się czymś niezwykłym, by dziewczyna z takimi zaletami mogła zakochać się

we mnie. Dwa lata później wzięliśmy ślub i Vanda rozpoczęła rygorystyczne porządkowanie naszego codziennego życia. Na tę codzienność składały się moje studia, dorywcze prace, ustawiczny brak pieniędzy, surowe oszczędzanie.

Rozpoznałem charakterystyczne cechy tamtego okresu: sukienki Vandy były tanie, sama je sobie szyła, nosiła stare pantofle z powykrzywianymi obcasami, jej wielkie oczy były nieumalowane. Jednego tylko nie umiałem rozpoznać: jej młodości. I właśnie to wydawało mi się w niej czymś obcym, właśnie jej młodość. Na tych fotografiach widać w Vandzie jakieś światło, którego – teraz rzuciło mi się to wyraźnie w oczy – zupełnie nie pamiętałem, nie przypominałem sobie nawet tego jakiegoś jej lśnienia, co pozwoliłoby mi dziś powiedzieć: tak, Vanda była właśnie taka. Pomyślałem o tej osobie, która spała teraz w sypialni, o tej osobie, która od pięćdziesięciu lat była moją żoną. Nie, nie zapamiętałem, że była naprawdę taka jak na tych zdjęciach. Dlaczego? Czyżbym patrzył na nią nieuważnie już od naszego pierwszego spotkania? Co wtedy w niej dostrzegłem kątem oka, nie przywiązując do tego większej wagi? Pozbierałem wszystkie jej fotografie z lat 1960–1974. Zatrzymałem się na tym roku, bo był to dla nas rok szczególny. Nie było tych zdjęć wiele, w tamtym czasie fotografowaliśmy się rzadko. Ukazywały kobietę, która do czterdziestki była pociągająca, może nawet piękna. Wpatrzyłem się w jedno kolorowe zdjęcie o różowej tonacji, na odwrocie miało zapisaną ołówkiem datę: 1973. Vanda była na niej z Sandrem, który wtedy miał osiem lat, i z czteroletnią Anną. Dzieci wydawały się szczęśliwe, przytulały się do matki, która także wydawała się pogodna i radosna; wszyscy troje patrzyli na mnie rozbawieni w chwili, kiedy robiłem im to zdjęcie. Ich wesołe spojrzenia uznałem za ślad mojej obecności przy nich, dowodziły, że i ja wtedy byłem im bliski. A jednak dopiero teraz dostrzegłem, że z mojej żony biła radość życia, i to sprawiało, że była tak urzekająca. W pośpiechu włożyłem wszystkie zdjęcia do metalowych pudełek. Tyle utraciłem przez karygodną nieuwagę. Czy zawsze odnosiłem się do Vandy z roztargnieniem? Jaki sens mogło mieć zresztą to pytanie, tego nawet dziś nie mogłem pojąć. Tam w łóżku

jedynie zielone oczy przesłonięte ciężkimi powiekami pozostały takie same jak pięćdziesiąt lat temu.

Wstałem, rzuciłem okiem na zegarek. Trzecia dziesięć. Słysząc było tylko nawoływanie jakiegoś nocnego ptaka. Zamknąłem okno, opuściłem żaluzje, rozejrzałem się po gabinecie. Dużo jeszcze było do zrobienia, ale prześwitywało już trochę porządku. Właśnie miałem przejść do sypialni, kiedy zauważyłem duży fragment wazonu, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi. Podniosłem go i znalazłem pod nim żółtą grubo wypchaną kopertę, opiętą gumką. Od razu tę kopertę rozpoznałem, chociaż od całych dziesięcioleci o niej nie myślałem, a wcisnąłem ją sam nie wiem gdzie, żeby właśnie o niej nie myśleć. W kopercie były listy od Vandy, które napisała do mnie między 1974 a 1978 rokiem.

Poczułem zażenowanie, zagubienie, winę i pomyślałem, że muszę gdzieś tę kopertę ukryć, zanim Vanda się obudzi. Najlepiej będzie dorzucić ją do sterty papierów, które miały pójść do śmieci, i nie zwlekając, znieść je na dół do pojemnika. W tych listach zachowało się tyle wielkiego cierpienia, że gdyby mogło się z nich wydostać, wypełniłoby sobą przedpokój, salon i przez zamknięte drzwi sypialni dopadłoby Vandę, wstrząsnęłoby nią, wyrwało ze snu i sprawiło, że krzyczałyby lub śpiewała dziecinne piosenki na cały głos. Ale ani tej koperty nie schowałem, ani nie wyrzuciłem do śmieci. Przytłoczony ciężarem, który nagle znowu w sobie poczułem, usiadłem z powrotem na podłodze. Zdjąłem z koperty gumkę i po niemal czterdziestu latach przeczytałem na wrywki te pożółkłe kartki, po parę linijek z listu, z jednego dziesięć, z innego piętnaście.

Rozdział drugi

1.

Jeśli już nie pamiętasz, szanowny panie, to Ci przypomnę: jestem Twoją żoną. To na te słowa natrafiłem od razu owej nocy, a one przeniosły mnie w czasy, kiedy odszedłem z domu, bo zakochałem się w innej kobiecie. U góry listu widniała data: 30 kwietnia 1974. Czas przeszedł bardziej niż dokonany. Łagodny poranek w Neapolu, w skromnym ówczesnym mieszkaniu, a ja jestem zakochany. Może powinienem był tak właśnie powiedzieć: Vanda, zakochałem się. Ale nic podobnego, rzuciłem jej słowa brzydkie, znacznie bardziej okrutne, a mimo to, jak teraz mi się zdaje, bynajmniej nie ostateczne.

Po mieszkaniu nie kręciły się dzieci. Sandro był w szkole, Anna w przedszkolu. Powiedziałem: „Vanda, muszę ci wyznać, że przespałem się z jedną dziewczyną”. Żona popatrzyła na mnie oszołomiona, a ja także od razu przestraszyłem się tych słów. Wymamrotałem: „Mogłem ci o tym nic nie mówić, ale wolałem powiedzieć prawdę”. I zaraz dodałem: „Przykro mi, tak to wypadło, a tłumienie w sobie pragnień jest przecież podle tchórzliwe”.

Vanda rzuciła się na mnie, biła mnie zaciśniętymi pięściami w piersi, była wściekła. Naturalnie spodziewałem się, że to wyznanie sprawi jej przykrość, jednak taka gwałtowna reakcja mnie zaskoczyła. Żona miała łagodne usposobienie, była rozsądna, dlatego trudno mi było zrozumieć, że nie umie zachować spokoju. Nie wzięła pod uwagę, że instytucja małżeństwa przechodzi kryzys, że rodziny się rozsypują, że wierność to cnota drobnomieszczańska. Chciała, by nasze małżeństwo było nadzwyczajnym wyjątkiem. Chciała, by naszej rodziny kryzys nie dotknął. Chciała, byśmy zawsze pozostawali sobie wierni. Dlatego od razu wpadła w rozpacz, żądała, żebym jej powiedział, kim jest ta dziewczyna, z którą ją zdradziłem. Tak, właśnie ją zdradziłem, zawołała przez łyż,

zdradziłem i upokorzyłem.

Wieczorem, uważnie dobierając słowa, starałem się jej wyjaśnić, że to nie jest zdrada, że bardzo ją szanuję, że prawdziwa zdrada ma miejsce wtedy, kiedy zdradza się swój instynkt, swoje potrzeby, swoje ciało, samego siebie. „Bzdury, puste gadanie”, krzyknęła i zaraz ściszyła głos, żeby nie obudzić dzieci. Kłóciliśmy się całą noc, wciąż po cichu, a jej cierpienie bez krzyku, cierpienie, które tylko powiększało jej oczy i marszczyło twarz, wstrząsało mną znacznie bardziej niż tamto, gdy krzyczała. Wstrząsało mną, ale mnie nie ogarnęło, jej udręka nie docierała do mnie, nie czułem jej tak, jak czułbym udrękę własną. Byłem w stanie jakiegoś odurzenia, które mnie chroniło jak ognioodporny kombinezon. Kręciłem, chciałem zyskać na czasie. Powiedziałem jej, że wydaje mi się bardzo ważne, by mnie zrozumiała, powiedziałem, że czuję się zagubiony i ona musi mi pomóc. A potem wymknąłem się z domu i nie wracałem przez kilka dni.

2.

Nie wiem, co wtedy miałem w głowie, może nic konkretnego. Na pewno nie żywiłem złych uczuć do żony, nie miałem do niej urazy, wciąż ją kochałem. Wydawało mi się, że to przyjemna przygoda ożenić się tak młodo, nie mając jeszcze ukończonych studiów, nie mając pracy. Odnosiłem wrażenie, że wyzbyłem się na zawsze dyktatu ojca i zacząłem wreszcie sam decydować o swoim życiu. Była to oczywiście decyzja ryzykowna, możliwości zarabiania miałem bardzo nikłe, czasami to mnie przerażało. Ale pierwsze lata małżeństwa były piękne, czuliśmy się nowoczesną parą, która nie będzie się poddawać skostniałym obyczajom. Później przygoda zmieniła się z wolna w obowiązek wobec dzieci. A przede wszystkim gwałtownie zmieniły się dekoracje, w których grałem rolę męża i ojca. Teraz całe nasze otoczenie wydawało się w zapaści, w upadku, ujawniało się to we wszystkich instytucjach, zwłaszcza na uniwersytecie, gdzie zacząłem pracować, nie mając jednak żadnych perspektyw. To, że ktoś w tak młodym wieku założył rodzinę, nie było oznaką nowoczesności, ale zacofania. Nie miałem jeszcze

trzydziestu lat, a czułem się stary. Czymś świeżym i pociągającym były tylko – wbrew mojej woli – ten świat i styl środowiska politycznego i kręgów kulturalnych, w których ostatecznie się odnalazłem. Toteż wkrótce, mimo że czułem się mocno związany z żoną i dziećmi, uległem fascynacji modą na taki sposób życia, w którym człowiek programowo wyzbywa się wszelkich tradycyjnych więzów. Pewnego razu pod pretekstem, że obrączka uciska mi palec, dałem ją sobie przepiłować. Vandzie było przykro, spodziewała się, że zrobię coś, by ją znowu założyć. Nic takiego jednak nie zrobiłem i tylko ona nadal nosiła obrączkę.

Bardzo możliwe, że do związku z Lidią (wstąpiła właśnie na wydział ekonomii i handlu zgodnie z ówczesnym trendem, a ja byłem asystentem bez żadnej przyszłości w katedrze gramatyki greckiej) zachęcił mnie właśnie ten duch nowych czasów, który mnie opętał. Na pewno zrezygnowanie z tego związku, który krzywdził żonę i dzieci, musiało mi się wydawać przeżytkiem. A skrywane spotkania, do jakich zazwyczaj uciekają się ludzie w potajemnych relacjach, wydawało mi się sprzeczne z tym modnym duchem czasów. Lidia nie miała jeszcze dwudziestu lat, ale już pracowała i miała mieszkanie na pięknej, pachnącej kwiatami ulicy. Chciałem jak najszybciej móc dzwonić jej domofonem, kiedy zechcę, spacerować z nią, chodzić do kina lub teatru i dlatego musiałem czym prędzej wyjawić wszystko Vandzie. Ale nie przypuszczałem, że te spotkania przerodzą się tak szybko w mocne uzależnienie – pragnienie tej dziewczyny. Przeciwnie, zdawało mi się, że wkrótce nasza namiętność ostygnie, Lidia zostawi mnie i wróci do chłopaka, z którym była kilka miesięcy wcześniej, albo że znajdzie sobie jakiegoś rówieśnika, wolnego, nieobciążonego rodziną. I dlatego, mówiąc Vandzie o związku z Lidią, chciałem tylko zyskać trochę czasu, żeby przeżywać tę przygodę komfortowo i otwarcie, dopóki sama nie wygaśnie. Słowem, kiedy odszedłem z domu po pierwszym starciu z Vandą, byłem pewien, że wkrótce do niej wrócę. Wmawiałem sobie, że taka przerwa przyda się *również* po to, by na nowo ułożyć związki z żoną, by stało się jasne, że musimy zmienić schematy naszego współżycia. I być może właśnie

dlatego powiedziałem Vandzie: „Przespałem się z jedną dziewczyną”, a nie: „Zakochałem się w jednej dziewczynie”.

Zakochanie się w tamtych czasach było sprawą dość śmieszną, wyglądało jak dziewiętnastowieczny relikw, ujawniało niebezpieczną skłonność do stapiania się ze sobą dwojga ludzi, a coś takiego, gdyby przypadkiem się pojawiło, trzeba by natychmiast przewyciężyć, żeby nie narażać drugiej osoby. Mieć dziewczynę natomiast zdawało się czymś upragnionym niezależnie od tego, czy było się żonatym, czy nie. Przespałem się z jedną dziewczyną, jestem z jedną dziewczyną, żyję z jedną dziewczyną – takie zdania były oznaką wolności, a nie winy. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że takie słowa mówione własnej żonie z pewnością brzmią brutalnie, zwłaszcza w przypadku osoby takiej jak Vanda, która podobnie jak ja wzrastała w przekonaniu, że *najpierw* trzeba się w kimś zakochać, a *potem* z tym kimś można iść do łóżka. Mówiłem sobie jednak, że Vanda musi przyjąć do wiadomości, że takie rzeczy się zdarzają i że właśnie to zdarzyło się mnie, a później, kiedy już do niej wrócę, znowu może mi się zdarzyć. I z takim przeświadczeniem – z nadzieją, że Vanda to zrozumie, że dostosuje się do nowych czasów i nie będzie robić scen – przeżywałem radośnie, coraz bardziej radośnie szczęśliwe miesiące z Lidią.

Później zdałem sobie sprawę, że w związku z nią nie chodziło tylko o przeżycie zmysłowe, o odrzucenie samego pojęcia cudzołóstwa, o radosną erotyczną przyjaźń, o jedno z tych wyzwalających zachowań, które formują świat na nowo. Ja tę dziewczynę kochałem. Kochałem ją w sposób staroświecki, to znaczy absolutnie. Myśl, że miałbym się z nią rozstać, wrócić do żony i dzieci, oddać ją komuś innemu, odbierała mi chęć do życia.

3.

Potrzebowałem roku, żeby to zrozumieć, a i tak nie powiedziałem sobie tego dostatecznie jasno. Nigdy jednak nie znalazłem dość siły, by porozmawiać o tym z Vandą, a to powodowało jej coraz gorsze samopoczucie i moją za to odpowiedzialność. To, że przespałem się z inną dziewczyną, w pierwszej chwili wydało się jej okropne.

Potem na swój sposób jakoś poradziła sobie z tym pierwszym ciosem i próbowała uznać całą sprawę za moją chwilową słabość wynikającą z braku doświadczenia z kobietami i zaciekawienia seksem. Spodziewała się, że po kilku dniach ochłone, i zabrała się do leczenia mnie rozmowami i listami. Była jak gdyby ogłuszona. Nie mogła uwierzyć, że ją – ją, która umieściła mnie w centrum swojego życia od lat dzielonego ze mną, która urodziła mi dwoje dzieci, która zawsze zajmowała się wszystkim, co mnie dotyczyło, w nienaganny sposób – właśnie ją odsunęła na bok jakaś nieznajoma, która nigdy nie potrafiłaby dbać o mnie z takim oddaniem jak ona.

Ile razy się spotykaliśmy – często po mojej dłuższej nieobecności w domu – próbowała mi uprzytomnić spokojnie i jasno wszystko to, co przemyślała. Siadaliśmy przy kuchennym stole i Vanda wyliczała po kolei problemy, które wynikały z mojego odejścia, mówiła, jak bardzo potrzebują mnie dzieci, bo czują się zagubione. Zazwyczaj pilnowała się i mówiła spokojnie, ale kiedyś się uniosła.

– Może w czymś pobrałam? – spytała.

– W żadnym razie.

– No to co jest między nami nie w porządku?

– Nic, przeżywamy tylko trudny okres.

– Uważasz, że jest trudny, bo nie możesz mnie znieść?

– Znoszę cię.

– Nie, ty znosisz tę kobietę, która stoi przy garnkach, sprząta mieszkanie, troszczy się o dzieci. Ale to tylko część mnie. Przecież ja także jestem jakąś osobą!

„Jestem osobą, osobą, osobą!”, zaczęła krzyczeć i nie mogła się uspokoić. Tak nam mijały całe godziny, długie i trudne. W tym okresie starała się mi wykazać, że nie zatrzymała się w rozwoju duchowym przed dziesięciu laty, że dojrzała, że jest teraz całkiem inną kobietą. Zaciskała przy tym ręce, chciała jakoś poradzić sobie ze swoim zdumieniem. „Bo czy to możliwe – mówiła – że sam tego nie zauważyłeś?”. A kiedy nie wiedząc, co jej na to odpowiedzieć, próbowałem się wykręcać, wspominałem o komplikacjach, jakie przynosi życie w rodzinie, i o niezbędnym człowiekowi poczuciu wolności, przenosiła się na moje pole, wykazywała mi z wyszukaną

uprzejmością, że i ona zna te wszystkie książki, które czytam, że i ona już od dłuższego czasu robi wiele, żeby poczuć się wolna, że przecież moglibyśmy i powinniśmy zajmować się tym razem. Po czym w pewnej chwili – kiedy spostrzegła, że chcę jak najszybciej wyjść z domu, by nie narażać mojego stanu łaski zakłócanego udreczeniem Vandy, mojej odpowiedzialności za ten widok cierpienia – układność gdzieś się zapodziewała i nastrój naszego spotkania się odmieniał. Vanda przybierała ton ironiczny, by po chwili krzyżeć, płakać i obrzucać mnie wyzwiskami. Kiedyś nagle zawołała:

- Nudzę cię?! Powiedz, że cię nudzę!
- Nie nudzisz mnie.
- To dlaczego wciąż patrzysz na zegarek? Spieszysz się na pociąg?
- Przyjechałem autem.
- Jej autem?
- Tak.
- Czeka na ciebie? Co będziecie dzisiaj robić, pójdziecie do restauracji na kolację?

Zaczęła się histerycznie śmiać, przeszła do sypialni i tam śpiewała na cały głos stare dziecinne piosenki.

Po jakimś czasie uspokoiła się i oczywiście wróciła do siebie, bo zawsze wracała do siebie. Ale po każdym takim wybuchu czułem, że traci w moich oczach coś z siebie, właśnie to, co mnie w niej kiedyś pociągało. Nigdy dawniej taka nie była, stawała się gorsza z mojej winy. A ta jej zmiana na gorsze usprawiedliwiała moje stopniowe oddalanie się od niej. Czy to możliwe – mówiłem sobie – że tak trudno uzyskać trochę wolności? Czy jesteśmy aż tak zacofani? Dlaczego w innych, dojrzałych krajach takie sprawy przebiegają bez większych dramatów?

Innym razem już wychodziłem na dworzec, dzień był upalny, zbliżał się wieczór. Podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Zawołała Sandra i Annę i powiedziała: „Tato czuje się tu jak w więzieniu, zabawmy się w prawdziwe więzienie, nie wypuszczajmy go od nas”. Dzieci udawały, że je to bawi, ja udawałem to samo, ale ona nie. Cicho powtarzała: „Ha, ha, już nie

wyjdiesz”. Potem rzuciła we mnie pękiem kluczy i zamknęła się w łazience. Nie odważyłem się wyjść, posłałem po nią Sandra. Wróciła i powiedziała, że żartowała. A wcale nie żartowała. Była zmęczona, od dawna źle sypiała, próbowała wymyślić coś, czym bym się przejął. A ponieważ się jej nie udawało, starała się albo mnie wzruszyć, albo zirytować, albo przebłagać, albo wystraszyć. „Nie możesz zatrzymywać mnie tutaj w ten sposób”, mówiłem. Odpowiadała oburzona: „A kto cię zatrzymuje, zabieraj się”. Ale już dwie minuty później szeptała: „Zaczekaj, usiądź, przez to twoje wariactwo i ja zaczynam wariować”.

Najmocniej rozgoryczyła ją i męczyło to, że nie chciałem jej wytłumaczyć, dlaczego zrobiłem, co zrobiłem. O to pytała, o tym pisała – wciąż pojawiało się to *dlatego*. Nie wiedziałem, jak mam jej na to odpowiedzieć, wymyślałem jakieś zawile racje albo rzucałem tylko, że nie wiem. Oczywiście kłamałem, bo już dobrze znałem przyczynę, widziałem ją coraz jaśniej. Czas spędzany z Lidią był radosny, lekki, nigdy nie miałem go dość. Czułem w sobie mnóstwo energii, pisałem, publikowałem, byłem chwalony, tak jakby to grzęzawisko, które jeszcze do niedawna było we mnie od dzieciństwa, nagle zostało osuszone przez tę młodą kobietę, kolorową i elegancką. Na początku przeżyliśmy wspólnie wspaniałą kwiecień: mieliśmy wiosnę w łóżku, wiosnę przy stole, wiosnę na spacerach, wiosnę w podróży. I mogłem na nią patrzeć – patrzeć urzeczony – jak się ubiera i rozbiera, jak nosi swoje wiosenne sukienki. Myślałem: wrócę do domu z końcem maja. Ale wiosna mijała szybko, dotarła do swojego ostatniego kalendarzowego dnia, a ja czułem, że nie mogę odejść od Lidii. Więc mówiłem sobie, że poczekamy do końca lata, że chcę mieć Lidię przy sobie przez wszystkie letnie miesiące. Ale lato także minęło i nie umiałem znieść jesieni bez niej. Potem minęła jesień, minęła zima, ale w całym tym roku mimo odwiedzin u żony i dzieci liczyła się dla mnie tylko ona, Lidia: Lidia wiosenna, Lidia letnia, Lidia jesienna, Lidia zimowa. Słowem, chciałem spędzać czas tylko z nią, a bałem się czasu spędzanego z Wandą, z Sandrem i Anną, nie chciałem go, ograniczałem możliwie jak najbardziej pod takim czy innym

pretekstem. Kiedy byłem z dziećmi, broniłem się kłamstwami – takie zmyślanie miało pokrywać nadzwyczaj dobre samopoczucie, które mną owładnęło. Upokarzała mnie wtedy zarówno niezdolność do trzymania się prawdy, jak też ta nieznośna prawda o rozpaczach mojej żony, o zagubieniu moich dzieci. Żeby być takim, jakim się czułem, żeby prawdziwie wyjaśnić, *dlaczego* zachowywałem się w taki sposób, musiałbym mówić z Wandą o moim szczęściu przy Lidii. Ale czy można zdobyć się na coś tak okrutnego? Wanda nie tego potrzebowała. Jeśli miała wyrwać się z rozpaczach, musiała usłyszeć: Już wiem, że się pomyliłem, wracam, znowu będziemy razem. Tak wyglądał mój ślepy zaułek.

4.

Nie wydostaliśmy się z tego zaułka ani w pierwszym roku, ani w następnym. Moja żona schudła, straciła energię, traciła też coraz bardziej kontrolę nad sobą. Była już osobą zawieszoną w próżni, wciąż wpadała w panikę, a to odbierało jej resztki sił.

Z początku sądziłem, że ta pułapka, w której się znaleźliśmy, więzi tylko nas dwoje, a nie wpływa na Sandra i Annę. I rzeczywiście jeszcze teraz widzę w wyobraźni nasze dzieci w tamtym czasie: jak za mgłą, nieostro, nie tak wyraziście, jak mimo upływu czasu widzę nas z Wandą podczas naszych rozmów, tych kłótni przy stole kuchennym. Sandro i Anna nie zostali mi w pamięci, a jeżeli w niej są, to jako dzieci, które się czymś zajmują, bawią, oglądają telewizję. Kryzys, niepokój, który nas niszczył, ich pozostawiał na boku, ich nie dotyczył. Ale pewnego razu to się zmieniło. Wanda podczas kolejnej kłótni zawołała, że muszę jej oświadczyć, czy chcę jeszcze zajmować się dziećmi, czy może zamierzam je porzucić, jak porzuciłem ją. Osłupiałem. „Oczywiście, że chcę się nimi zajmować”, odpowiedziałem. A ona to z ulgą skwitowała: „Dobrze o tym wiedzieć, nie będziemy już do tego wracać”. Ale kiedy upłynęło trochę czasu, a mnie na zmianę albo długo przy nich nie było, albo tylko z rzadka do nich wpadałem, powiedziała, że chociaż nie rozumiałem, jak postąpiłem z nią, muszę zrozumieć, jak postępuję z dziećmi i jak mam ułożyć moje

kontakty z nimi.

Nie myślałem o tym. Dzieci przed kryzysem były częścią naszego życia. Przyszły na świat i już na nim były. W wolnych chwilach bawiłem się z nimi, zabierałem je na spacer, wymyślałem dla nich bajki, chwaliłem je lub strofowałem. Ale na ogół po zabawie albo po skarceniu ich z dobrotliwą stanowczością zamykałem się w gabinecie w swoich sprawach, a dziećmi od tej chwili z wielkim poświęceniem i pomysłowością zajmowała się matka, troszcząc się jednocześnie o dom. W tak ułożonym życiu nie widziałem nigdy nic niewłaściwego, Vanda także nigdy się na nie nie uskarżała, nawet kiedy urzekły nas poglądy o zdeinstytucjonalizowaniu – jakże to brzydko brzmi – małżeństwa. Oboje byliśmy wychowani w przekonaniu, że pewien sposób życia jest wpisany w naturalny porządek rzeczy. Zdawało się nam czymś normalnym, że nasze małżeństwo będzie trwało aż do chwili, kiedy rozdzieli nas śmierć. Zdawało się nam czymś normalnym, że żona będzie się zajmować tylko domem i nie pójdzie do pracy. Bo nawet wtedy, gdy zdawało się, że wszystko zaczyna się zmieniać – w tej fazie przedrewolucyjnej, jak wówczas się mówiło – było nie do pomyślenia, żeby matki przestały się zajmować dziećmi. I oto nagle Vanda wyciągnęła ten problem na plan pierwszy i pytała, jak zamierzam mu sprostać. A ja znowu nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Szliśmy ulicą, dochodziliśmy do piazza Municipio. Przystanąła, popatrzyła mi prosto w oczy i spytała:

– Chcesz być dalej ojcem?

– Chcę.

– W jaki sposób? Pokazując się co jakiś czas, by pogrzebać nożem w ranie, a potem unikając nas całymi miesiącami? Uważasz, że dzieci to figurki, którymi możesz poruszać na odległość tylko wtedy, kiedy to dla ciebie wygodne?

– Będę do nich przyjeżdżał na każdy weekend.

– Ach, *będiesz do nich przyjeżdżał*. To znaczy, że zostaną ze mną. Pogubiłem się, coś mamrotałem.

– Jeśli wolisz, mogę je także mieć u siebie.

– Także?! Także?! – krzyknęła. – Ja mam je u siebie zawsze, a ty

także będziesz je u siebie miewał? Chcesz je tak zniszczyć, jak zniszczyłeś mnie? Dzieci potrzebują rodziców nie *także*, tylko *zawsze*.

Zerwała się i pobiegła, zostawiając mnie na placu samego.

Postanowiłem wobec tego przyjeżdżać do Neapolu na każdy weekend. Opuszczałem Rzym i jechałem do domu, w którym upłynęło nam tyle wspólnych lat. Obiecałem sobie nie wdawać się w sprzeczki z Wandą – miałem już tego dość, ona również tylko drżała, zapalała papierosa jednego po drugim, miała roztrzęsioną rękę, patrzyła tak, jakby nie widziała dla siebie żadnego wyjścia. Postanowiłem jej unikać i zamykać się z dziećmi w ich pokoju. Wkrótce jednak stwierdziłem, że to nieskuteczne. Chociaż miejsca w domu było ciągle tyle samo, ani ja, ani dzieci nie umieliśmy przebywać ze sobą tak swobodnie jak dawniej. Wszystko stało się jakieś sztuczne. Ja czułem obowiązek spędzania z nimi pogodnie czasu, a one – obowiązek nawiązywania ze mną kontaktu. Już nie były takie jak kiedyś, patrzyły na mnie niespokojnie, obserwowały, co ja i matka robimy i mówimy, nie chciały popełnić żadnego błędu, zniechęciły mnie czymś do siebie i być może utracić mnie na zawsze. Chociaż jednak staraliśmy się ze wszystkich sił, nie udawało się nam – ojcu i dzieciom – zachowywać się naturalnie. Wanda zostawała w innym pokoju, a my troje nie umieliśmy o niej nie myśleć, była częścią nas i starania, by się do niej oddzielić, okazywały się daremne. Zostawiała nas samych na długo, to prawda, i nie wtrącała się do nas. Ale dochodziły nas odgłosy jej krzątania albo nerwowe nucenie piosenek. Mieliśmy nie zwracać na nią uwagi, nauczyć się być ze sobą tylko we troje, jakoś ułożyć nasze sprawy w nowych okolicznościach, wykluczając obecność matki. Ale nie umieliśmy tego zrobić, wyczuwaliśmy jej obecność jak pogrózkę – ona nie chciała nam w niczym przeszkadzać, pogrózką była dla nas raczej jej udręka – i czuliśmy, że nie umyka jej żaden nasz ruch ani żadne słowo, że nawet kiedy słyszy, jak u nas skrzypi krzesło, cierpi z tego powodu. Dlatego czas nieznośnie się nam dłużył, wieczór nie chciał nadejść. Brakowało mi pomysłów. Wpadałem w roztargnienie, myślałem o Lidii. Była sobota. Może poszła ze znajomymi do kina, może robiła coś innego. Zamierzałem rzucić

głośno, że schodzę na dół po papierosy, znaleźć budkę telefoniczną, z której zadzwonię do Lidii, zanim wyjdzie z domu, zanim telefon zadzwoni w pustce, upewniając mnie w domysłach, że zostałem porzucony. Vanda wydawała się szczególnie uwrażliwiona na to moje rozchwianie. Wsuwała do nas głowę, spoglądała na mnie, z wyrazu mojej twarzy rozumiała, że męczy mnie obcowanie z dziećmi. Nigdy dawniej tak długo z nimi nie przesiadywałem. Na pewno nigdy tak długo jak teraz, a teraz wyglądało to na jakiś egzamin, po którym moja żona, a ich matka, ma zamiar wystawić nam stopnie.

Czasami nie mogła się powstrzymać i rzucała pytanie:

- Co u was?
- U nas wszystko w porządku.
- Nie bawicie się?
- Przecież się bawimy.
- W co?
- Gramy w asa, który wszystko przebija.
- Dzieci, pozwólcie ojcu wygrać, bo będzie się złościł.

Nic się jej nie podobało. Ani to, że włączam telewizor, ani to, że wymyślam niewłaściwe zabawy. Twierdziła z kpina w głosie, że zanadto dzieci rozkręcam i potem nie mogą zasnąć. Napięcie stawało się nie do zniesienia, a kończyło się to tak, że kłóciliśmy się przy Sandrze i Annie. Już nie pilnowaliśmy się podczas awantur, Vanda zresztą uznała, że dzieci powinny o wszystkim wiedzieć, wszystko przemyśleć i ocenić.

- Mów ciszej, z łaski swojej.
- Dlaczego? Boisz się, że zrozumieją, kim naprawdę jesteś?
- Daj spokój.
- Chcesz tak się nimi bawić, jak bawiłeś się mną? Mają myśleć, że je kochasz, chociaż to nieprawda?
- Zawsze cię kochałem i dalej kocham.
- Nie kłam. Nie kłam mi, bo tego już nie zniosę. Nie kłam przy dzieciach. Jak masz kłamać, to się zabieraj.

Sandro i Anna szybko zrozumieli, że każdy mój przyjazd do domu to dla matki nowe cierpienie, nad którym nie potrafi zapanować.

Dlatego jeśli początkowo czekały na mnie, cieszyły się, że do nich przyjeżdżam, i może spodziewały się, że już zostanę w domu na stałe, to potem udawały, że są skoncentrowane na swoich zabawach albo na oglądaniu telewizji, z nadzieją, że może odjadę, zanim wybuchnie awantura z matką. Ja zresztą także starałem się skracać pobyt w domu i wychodziłem, kiedy zdawało mi się, że Vanda zaczyna się denerwować. Kiedyś przywoziłem dzieciom upominki – Sandrowi sweter, Annie koraliki. Vanda, widząc, że córka cieszy się prezentem, spytała:

– Sam to dla nich kupiłeś?

– Sam. Kto miałby to kupić?

– Lidia.

– Po co tak mówisz?

– Zaczzerwieniłeś się, kłamiesz, to ona kupiła.

– Nie, nie ona.

– Musisz szukać pomocy, kiedy masz wybrać prezenty dla swoich dzieci? Nie waż się nigdy przywozić prezentów, które kupuje im ona.

Istotnie, te rzeczy kupiła dla nich Lidia, ale nie o to w tym szło. W każdej awanturze Vandzie chodziło o coś innego. Chciała mi wykazać – zresztą nie tylko mnie, także sobie – że nie umiem i nie mogę być ojcem bez jej nadzoru, że kiedy odsuwam ją na bok, odsuwam na bok także siebie, że bez rozsądnego podejścia nasze wspólne życie – to znaczy ten sposób życia, jaki obraliśmy, zanim jej powiedziałem o mojej zdradzie – już nie jest możliwe.

To przeświadczenie szybko wydało mi się dowiedzione. Przyjazdy co sobotę czy niedzielę, kiedy zastawałem Sandra i Annę wykąpanych i ładnie uczesanych jak na spotkanie z gośćmi, w pierwszej chwili szczerze ucieszonych, chociaż zaraz pojawiało się napięcie przykre i dla nich, i dla mnie, wydały mi się nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe. Mój pobyt w domu po to, by wciąż czuły obok siebie obecność ojca, był w istocie chwilowy, skoro nie wracałem do nich na stałe, i okazywał się zwyczajnym nieporozumieniem. Cokolwiek mówiłem lub robiłem, było to zawsze dla Vandy niewystarczające. Zaraz mi wykazywała – w logiczny

sposób, którym wciąż się posługiwała, a który teraz jeszcze się w niej umocnił, że nie udzielam oczekiwanych odpowiedzi na nieme pytania naszych dzieci, że je zawodzę i nie spełniam ich potrzeb.

– A czego oczekują? – zapytałem ją kiedyś, bardziej zagubiony niż zwykle.

– Chcą zrozumieć! – wykrzyczała głosem, który łamał się jej w gardle i którym niemal się dusiła. – Chcą zrozumieć, dlaczego odszedłeś z domu, żeby zamieszkać gdzie indziej, dlaczego ich porzuciłeś, dlaczego przebywasz z nimi niechętnie i tylko przez parę godzin, a potem odjeżdżasz i nawet im nie mówisz, kiedy znowu do nich zajrzysz i kiedy wreszcie zajmiesz się nimi, jak na to zasługują.

Przyznałem jej rację, żeby się uspokoiła, ale też dlatego, że nie wiedziałem, co mogę jej przeciwstawić. Jakim byłem ojcem, jakim ojcem mogłem być w tym domu, gdzie przez wiele lat żyliśmy w niepodważalnym przekonaniu, że zawsze będziemy we czworo? Nawet układ mieszkania dostosował się do naszego wspólnego życia, oferując miejsce dla wszystkich naszych potrzeb. I chociaż pokoje były mroczne, zimą chłodne, a upalne w lecie, nie dość oświetlone, to jednak przystosowały się do naszej pogodnej, czasami wręcz radosnej codzienności. Przebywanie w tym domu w nowej sytuacji choćby przez kilka godzin tygodniowo zdawało mi się nie do zniesienia. Dlatego kiedyś, podczas kolejnej awantury, powiedziałem Vandzie:

– Nie mają teraz szkoły, wezmę je na trochę do siebie.

– Co to znaczy „do siebie”?

– Do siebie.

– Chcesz mi je odebrać?

– Nie, skądże.

– Tak, chcesz mi je odebrać – stwierdziła przybita.

Ale później zgodziła się, by przyjechały do mnie. Zgodziła się w sposób dramatyczny, jakby szło o jakąś skrajną, ostateczną próbę, dzięki której zrozumie, co naprawdę chodzi mi po głowie.

5.

Więc którejś letniej niedzieli zabrałem dzieci do Rzymu i wydawało

mi się, że są zadowolone. Ale to był chybiony pomysł. Nie miałem mieszkania – nie stać mnie było na nie – a nie chciałem ulokować dzieci u Lidii. Sprawa stała się zawiła i jak zwykle trudna do rozwiązania. Przewidywałem, że gdybyśmy zamieszkali we trójkę u Lidii w jej jednopokojowym mieszkaniu, a Vanda by się o tym dowiedziała, to uznałaby, że najwyraźniej usuwam ją z naszego życia, że jej mówię: Możesz już odejść, nie przydajesz się ani w roli żony, ani w roli matki. A ponieważ zawsze posługiwała się rozumowaniem ściśle logicznym, co nie pozwalało jej cierpliwie się nad czymś zastanowić, obawiałem się, że takie oschłe wnioszkowanie, do którego się ucieknę, może ją popchnąć (popychało ją już codziennie, płaciła za to wyczerpaniem fizycznym i coraz większą nieufnością) do czynów, których nawet nie chciałem sobie wyobrażać. Ale niepokoiła mnie nie tylko reakcja Vandy. Przebywanie z Lidią na oczach dzieci, w jej słonecznym pokoju, przy śniadaniu, przy obiedzie, przy kolacji, leżenie w jej łóżku zdawało mi się mocno niestosowne. Byłoby to w gruncie rzeczy tak, jakbym mówił Sandrowi i Annie: Uwaga, patrzcie teraz na tę dziewczynę, zobaczcie, jaka jest miła, jaka spokojna, sami widzicie, jak nam z nią tu dobrze, ja tutaj z nią mieszkam, podoba się wam? I zdawało mi się, że w ten sposób wymuszałbym na nich miłość do mnie, do wspólnego mieszkania z Lidią, a przecież to – zakładając, że Lidia rzeczywiście by im się spodobała – urażałoby ich miłość do matki. Był jeszcze inny powód moich zmartwień. Nie chciałem odgrywać roli ojca. Wydawało mi się niemożliwe, by zostać u Lidii z dwójką dzieci na dłużej, tłoczyć się w jej ciasnym mieszkaniu, stwarzając bałagan, a też demonstrować swoją odpowiedzialność za dzieci, niemal zachęcając, by ją ze mną dzieliła, podczas gdy sam dopiero od niedawna – po awanturach z Vandą – zaczynałem rozumieć, jak bardzo ta odpowiedzialność jest trudna. Nie chciałem odsłaniać siebie, ujawniać tak jasno i konkretnie, kim jestem: że mam trzydzieści sześć lat, że mam określoną pracę, że jestem żonatym ojcem dwójki dzieci, z których jedno ma jedenaście, a drugie siedem lat. Nawet sam nie chciałem siebie tak widzieć w tym zaczarowanym kręgu, gdzie mogłem czuć się wolnym od przesądów

kochankiem, który pozbył się więzów tylko po to, aby na nowo dać się związać. Poznałem nowy rodzaj miłosnych związków i nie chciałem być mężczyzną wnoszącym do domu młodej, otwartej na przyszłość kobiety, swój spadek po szarej przeszłości.

Poprosiłem o gościnę jednego z przyjaciół. Nie miałem pojęcia, jak obchodzić się z dziećmi, i wkrótce w sposób naturalny zajęła się nimi jego żona. Oboje trzymali moją stronę, popierali moje decyzje. Twierdzili, chociaż od pięciu lat byli zgodnym małżeństwem, że nie należy opierać się swoim impulsom, że dobrze robię, poddając się swojej namiętności, i że nie powinienem czuć się winny. Któregoś wieczora, kiedy dzieci już spały, oboje wyrazili zdziwienie, że nigdy nie krytykuję żony.

– A dlaczego miałbym ją krytykować? – spytałem.

– Dlatego że przesadza. Nie powinna tak się zachowywać – powiedział przyjaciel.

– Bardzo ją krzywdzę, więc reaguje na to, jak umie.

– Reaguje bardzo niesympatycznie – zawołała żona przyjaciela.

– Trudno jest cierpieć sympatycznie.

– Innym to się udaje, w pewnych przypadkach umiar jest najważniejszy.

– Widocznie ci, których masz na myśli, nie cierpią tak bardzo jak Vanda.

Broniłem jej szczerze, ale oni uważali, że to tylko moje zrównoważenie każe mi tak mówić. A kiedy Sandro i Anna leżeli już w łóżkach i byłem pewien, że zasnęli, zostawiałem ich pod czujną i serdeczną opieką moich gospodarzy i biegłem do Lidii. Czas, jaki spędzałem z nią, zawsze, od samego początku mnie zachwycał. Był bez reszty daleki od tego uczuciowego ubóstwa, do jakiego przywykłem przy Vandzie. Lidia wyniosła z domu naturalną swobodę bycia i tak żyła. Lubiła wypoczynek i przyjemności, opłacała je, by nie wkładało się żadne napięcie, kiedy miałem kłopoty, pożyczala mi pieniądze, naszą zagmatwaną sytuację traktowała pogodnie, nie znała niepokoju o przyszłość. Byłem szczęśliwy, kiedy otwierała mi drzwi, a stół był już nakryty do nocnej kolacji – byłem nieszczęśliwy, kiedy musiałem zrywać się

z jej łóżka przed świtem. Wracalem o wpół do szóstej do dzieci, mając nadzieję, że nie zdążyły się jeszcze obudzić. Kręciłem się po domu dość niewyspany, wciąż w poczuciu winy. Często siadałem przy łóżku Sandra i Anny i patrzyłem na nich, jakbym chciał ich w siebie wchłonąć, poczuć, że są moi i że ich naprawdę potrzebuję. Potem budziłem ich, czekałem, żeby się umyli, zjedli śniadanie, i brałem ich ze sobą do pracy, żeby wreszcie uwolnić gospodarzy.

Dzieci nigdy niczemu się nie sprzeciwiały. Siedziały przy mnie bardzo grzecznie, starając się nie być ciężarem, nie przeszkadzać, ale też dobrze wypaść w oczach moich kolegów i studentów. Mimo to wkrótce poddałem się i odwoziłem je do Vandy.

– Już po wszystkim? – spytała kpiąco. – Tyle twego ojcowania?

Nie umiałem się tłumaczyć. Kręciłem, mówiłem, że trudno mi było zaspokoić potrzeby dzieci, podolać temu, o co ona tak dobrze umie dbać. Zrozumiała moje słowa opacznie, myślała, że chcę wrócić do domu na stałe. Rozpogodziła się, powiedziała, że musimy nasze życie we czworo ułożyć jakoś na nowo. Potrząsnąłem głową i odpowiedziałem:

– Muszę teraz ułożyć na nowo moje sprawy.

W ułamku sekundy Vanda odczytała z wyrazu moich oczu, jak wiele siły czerpię ze swojego szczęścia przeżywanego z dala od niej, i natychmiast odgadła, że nic mnie nie zatrzyma w domu, nawet dzieci. Nagle wyczułem, że to, co jej robię, jest wyjątkowo podłe, więc czym prędzej się pożegnałem, nie czekając, aż zda sobie z tego sprawę.

Nowy ślad jej życia dotarł do mnie parę miesięcy później, pocztą. Przysłano mi bardzo oszczędny dokument. Sekretarz sądu dla nieletnich w Neapolu zawiadamiał mnie, że sąd wydał postanowienie o powierzeniu Sandra i Anny wyłącznej opiece matki. Mogłem wsiąść do pociągu i natychmiast pędzić do prezesa sądu, protestować, krzyczeć, że jestem ich ojcem, że nic mnie nie obchodzi jakiś archaiczny paragraf 133 czy coś tam jeszcze, przecież jestem tutaj i to nieprawda, że porzuciłem dzieci, wciąż chcę z nimi być. Ale nic takiego nie zrobiłem. W dalszym ciągu byłem z Lidia, w dalszym ciągu pracowałem w Rzymie.

6.

Siedząc na podłodze zdemolowanego gabinetu, wczytywałem się długo w tamten dokument. Znalazłem go w tej żółtej kopercie, w której były listy Vandy. Zadałem sobie pytanie, czy moje dzieci kiedykolwiek przeczytały oryginał wyroku wydanego, jak to się mówi, przez wysoki sąd, lub jakiś inny dokument w tej sprawie, który pewnie musiał gdzieś istnieć. Ta kartka papieru przypomina o moim formalnym wyrzeczeniu się ich. To urzędowy dowód, że je porzuciłem, że musiały rosnać beze mnie, że pozwoliłem na to, by definitywnie znalazły się poza moim życiem, niesione tą falą, która je ode mnie oddaliła, że zeszyły z moich oczu, abym nie musiał się o nie niepokoić. To lakoniczne zawiadomienie było dowodem, że się od nich uwolniłem. Przywykłem nie odczuwać żadnego ciężaru w myślach, w sobie, ponieważ już nie miałem ich na co dzień, ponieważ wkrótce stały się dla mnie inne niż tamte, które znałem. Straciły dziecinne rysy, wyrosły, zmieniły się ich twarze, głosy, chód, myśli. Natomiast w mojej pamięci pozostały takie, jakie były w tamtej decydującej chwili, kiedy odwiozłem je z powrotem do matki i powiedziałem: „Muszę teraz na nowo ułożyć moje sprawy”.

Minęło trochę czasu. Jakoś zniosłem tę rozłąkę dzięki temu, że była przy mnie Lidia, i dzięki nowej, interesującej pracy. Rzuciłem bezpłodne zajęcia na uniwersytecie. Zacząłem pisywać do gazet, tworzyć audycje radiowe, spoglądać, na razie nieśmiało, w stronę telewizji. Największy dystans to nie ten w przestrzeni, liczony w kilometrach, ani ten w czasie, liczony nawet w tysiącletniach, tylko ten, którego nabiera się w wyniku zmiany. Oddaliłem się od żony i dzieci, idąc za tym, co mnie pasjonowało: za nową kobietą, którą kochałem, i za aktywnością zawodową, także nową, która w następujących po sobie fazach wydawała się nie do zatrzymania, dodawała drobny osobisty sukces do sukcesów już odniesionych. Podobałem się Lidii, podobałem się wszystkim. Jakaś gęsta mgła oddzielała mnie od przeszłości, kiedy czułem się nikim. Nijaki dom w Neapolu, nijaka rodzina, nijacy przyjaciele. Vanda, Sandro, Anna wciąż byli we mnie żywi i uporczywie obecni, ale tylko dopóty, dopóki odległość, która nas dzieliła, nie przesłoniła mi ich istnienia

i nie ujęła ciężaru ich cierpieniu. Zwłaszcza że niemal automatycznie odżywała we mnie dawna wyćwiczona sprawność. Od małego hartowałem się w tym, żeby nie przejmować się udręką matki maltretowanej przez ojca. Tak umiałem sobie z tym radzić, że chociaż byłem obecny przy różnych wydarzeniach, udawało mi się nie słyszeć krzyków, wyzwisk, odgłosu policzkowania, płaczu czy wykrzykiwanych w dialekcie jej nieustannych pogroźek: „Zabiję się”, „Rzucę się z okna”. Nauczyłem się nie słyszeć moich rodziców, zaś żeby ich nie widzieć, wystarczyło zamknąć oczy. Tą dziecinną sztuką posługiwałem się potem przez całe życie w niezliczonych okolicznościach. Bardzo mi się przydawała, uciekałem się do niej często. Zostawiłem za sobą pustkę, miałem w sobie pustkę. Żona i dzieci pojawiały się we mnie w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, ale ich nie widziałem i nie słyszałem.

Nie zawsze jednak udawało mi się tak łatwo ze wszystkiego wybrnąć. Byłem za granicą, kiedy dowiedziałem się, że żona próbowała się zabić. „Tak daleko to zaszło!”, zawołałem przybity wiadomością, ale do dzisiaj nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć. Może tamto „tak daleko to zaszło” było niemym krzykiem buntu przeciw Vandzie, może pytałem siebie, co konkretnie skłoniło ją do tego kroku w stronę śmierci. Raczej jednak oskarżałem w ten sposób siebie: tak daleko to zaszło, aż tutaj ją doprowadziłeś, to haniebne. A może najogólniej oskarżałem siebie o poddanie się powszechnej manii posiadania wszystkiego, czego tylko zapagniemy, bez uwzględniania, jak wiele przez to tracą inni, jak wielką krzywdę im wyrządzamy. Nie dawało mi to spokoju, byłem przerażony. Vanda leżała w szpitalu. Kiedy to się stało? Jak dalece ta sprawa dotknęła Sandra i Annę? Myśli o chwilach spędzonych z nimi wyraziście uprzytomniły mi stan rzeczy. Zdałem sobie sprawę, że muszę zdecydować – albo rzucę wszystko, czyli pracę i moje życie z Lidią, i popędzę tam, by wypełnić pustkę po sobie i uporządkować to, co zniszczyłem, albo ograniczę się do telefonu, zapytam o stan Vandy, ale nie będę dążył do spotkania z nią, nie będę jej oglądał z dziećmi obok, nie zaryzykuję przeżywania takich emocji. Długo wahałem się, którą z tych dwóch

możliwości mam wybrać, wydawało mi się, że w tej sprawie nikt nie może mi doradzić, że cała odpowiedzialność za decyzję spoczywa wyłącznie na mnie. A gdyby Vanda nie przeżyła? Miałbym wtedy powiedzieć sobie, że to ja ją zabiłem? W jaki sposób? Niszcząc jej życie tak bardzo, że takiej egzystencji nie chciała dłużej ciągnąć, że wolała odejść? Sandro i Anna już w dorosłym wieku oskarżaliby mnie o zabójstwo? A poza tym, czy trzeba było aż jej śmierci, by uświadomić sobie, że to ja doprowadzałem do tej tragedii, zabijając ją stopniowo, powoli, miesiącami i latami?

Zabójstwo, zabójstwo, zabójstwo.

Okaleczyłem czyjeś istnienie, doprowadziłem młodą kobietę, która tak jak ja pragnęła się w pełni zrealizować, do tak drastycznego stanu, że już nie chciała żyć.

No nie, co też przychodzi mi do głowy. Czy podążanie za własnym losem jest przestępstwem? Czy niezgoda na wyrzeczenie się siebie jest przestępstwem? Czy nieakceptowanie instytucji małżeństwa i duszącej codzienności jest przestępstwem? Toż to absurd!

Kochałem Vandę, nie zdarzyło się ani razu, żebym na zimno ją czymś skrzywdził. Zachowywałem się delikatnie, okłamywałem ją jedynie po to, żeby jak najmniej cierpiała. Ale, Boże Świąty, nie do tego stopnia, żebym sam miał przez to cierpieć, żebym chroniąc ją, siebie samego gnębił. Tak daleko to nie zaszło!

Nie pojechałem do niej. Nie chciałem wiedzieć, co się z nią dzieje. Nie napisałem do niej. Nie zainteresowałem się, jak przeżyły to dzieci. Postanowiłem zachować się tak, by ostatecznie zrozumiała, jak wyglądają sprawy: nic, nawet jej śmierć, nie mogło mi przeszkodzić kochać Lidii. Kochać. To słowo zacząłem wypowiadać właśnie w tym okresie, wcześniej zdawało mi się, że pasuje tylko do sentymentalnych powieści, i byłem przekonany, że nadaje mu nowy sens, którego wcześniej nie miało.

7.

Vanda się pozbierała, przestała się mną interesować, wkrótce przestała też do mnie pisać. W marcu 1978 roku to ja napisałem do niej i poprosiłem o spotkanie z Sandrem i Anną.

Trudno powiedzieć, po co to zrobiłem, skoro wydawało mi się, że wszystkie moje sprawy korzystnie się ułożyły. Mieszkałem w Rzymie. Dostałem stałą posadę w telewizji. Byłem bardzo szczęśliwy z Lidią. Moja żona już na nic nie nalegała. Dzieci przypominały mi się czasami: odwracałem głowę, gdy na ulicy słyszałem dziecinny głos wołający „tato”. A jednak coś się we mnie zacięło. Nie każdy dzień był tak samo radosny, znowu dawała o sobie znać niepewność, czasami wydawało mi się, że nie mam takiego talentu, jaki sobie przypisywałem. Zdarzały mi się chwile złego nastroju, kiedy wmawiałem sobie, że cały ten mój coraz większy sukces to tylko sprawa przypadku, że wkrótce to się odwróci, że los może mnie ukarać za pychę, jaką przejawiałem, podejmując się zadań, do których nie miałem wystarczających kompetencji. Może również chodziło tu o Lidię. Kochałem ją coraz mocniej, dostrzegałem jej subtelność, inteligencję, wrażliwość, ale byłem coraz mniej pewien, czy na Lidię zasługuję.

- Dlaczego jesteś ze mną? – pytałem.
- Bo tak się złożyło.
- To nic nie znaczy.
- Ale tak jest.
- A jeżeli tak się złoży, że wszystko się skończy?
- Postaramy się, żeby się nie skończyło.

Obserwowałem ją czasami z daleka na jakimś przyjęciu czy uroczystości. W ciągu niewielu lat przestała być dziewczyną, stała się kobietą powszechnie cenioną i emanowała z niej siła migotliwego płomienia, który olśniewa, choć płonie dyskretnie. Wkrótce pójdzie przed siebie beze mnie, myślałem, patrząc na nią. Przeżyłem siłę wezbranej witalności, kiedy się z nią związałem, i to mnie porwało, spowodowało rozbłysk ambicji, dzięki której odniosłem sukces. Któregoś dnia Lidia uprzytomni sobie, że zakochała się nie we mnie, ale w rezultatach swojego własnego jaśnienia, które mnie objęło, i zrozumie, że w rzeczywistości jestem tylko małym zagonionym człowieczkiem. Im wyraźniej zobaczy, jaki jestem, tym mocniej odczuje, z jaką siłą pociągają ją inni. Tak to się we mnie ułożyło i niemal odruchowo zacząłem dokładniej

obserwować jej przyjaciół. Niepokoilem się, kiedy chwaliła jednego lub drugiego, ale też zacząłem się lękać, że niepostrzeżenie mogę się zmienić z pozbawionego uprzedzeń kochanka w tępego strażnika. Taka przemiana – dobrze wiedziałem – nie miałyby sensu. Czy chciałbym tego, czy nie, Lidia i tak podążałaby za swoimi pragnieniami, niszcząc mnie tak, jak ja, idąc za swoimi pragnieniami, niszczyłem Vandę. Zdradziłaby mnie, to pewne, i dopiero tu to słowo byłoby na miejscu, mimo że nie zawarliśmy żadnego paktu, mimo że nasz związek nie był niczym obwarowany, mimo że ani ja nie czułem się pozbawiony prawa do pożądania innych kobiet, ani ona nie przyrzekła mi, że nie będzie pożądać innych mężczyzn. Na samą myśl, że to może się zdarzyć, czułem się zdruzgotany. Gdzieś pojedzie w sprawach służbowych, spotka kogoś i ten ktoś się jej spodoba. Będzie urzekać przyjaciół i znajomych i kiedyś tę swoją władzę nad nimi wykorzysta. Pójdzie na przyjęcie, rozbawi się i pozwoli sobie na swobodny krok. Będzie doceniana przez wpływowych mężczyzn i dzięki temu spotkają ją wyróżnienia, których ja nie umiem jej zapewnić. Nowoczesne poglądy lekko tylko okryły jaskrawą zasłoną te stare. Pradawne instynkty wciąż są w głębi, ale teraźniejszość już się stała taka, jak jest, i Lidia będzie nią żyć w pełni, a moje cierpienie jej nie powstrzyma. Dlatego czasami nie chciało mi się pracować, gasła we mnie inwencja, a ożywała dopiero wtedy, gdy jakimś sposobem udawało mi się przekonać siebie, że się mylę, że ona mnie kocha i będzie mnie kochać zawsze. Inaczej nie miałyby sensu to pasmo bólu, które właśnie zostawiałem za sobą.

W takich chwilach ograniczona klatka codziennych zajęć – częste zebrania, konkurencja, ciągła rywalizacja, drobne niepowodzenia, drobne zwycięstwa, podróże służbowe, co wieczór uściski i pocałunki, noce, poranki, cały ten doskonały środek zaradczy, by trzymać się z dala od wspomnień i wyrzutów sumienia – nie była już tak ciasna. Ojcowie bawiący się z dziećmi, udzielający im mądrych wyjaśnień w pociągach i autobusach, tacy, co dla nauczania dzieci jazdy na rowerze narażają się na zawał serca, trzymając siodełko i biegnąc z wołaniem: „Pedałuj, pedałuj”, rozszerzali pręty tej mojej

klatki. Vanda i dzieci, całkiem już zapomniani, pojawiali się w moich myślach jako przypomnienie, że kiedyś i ja tak się zachowywałem. Któregoś mroźnego ranka, gdy czułem się szczególnie przygnębiony, zobaczyłem na Via Nazionale bardzo chudą, zaniedbaną kobietę idącą z dwojgiem dzieci, chłopcem i dziewczynką. Dzieci biły się ze sobą, chłopiec miał może dziesięć lat, dziewczynka pięć. Długo przypatrywałem się, jak się popychały, obrzucały wyzwiskami, przeklinały, a matka na nie krzyczała. Miała na sobie niemodny płaszcz, one miały zniszczone buty. Pomyślałem, że to jak moja rodzina, która wyłoniła się z zapomnienia. Znienacka zobaczyłem przy nich swoje puste miejsce i powiedziałem sobie, że to ta pustka tak mnie zniszczyła.

Parę dni później napisałem do Vandy. Odpowiedziała mi po dwóch tygodniach, kiedy już ich trójka znowu gdzieś się zagubiła w tle mojej codzienności, a ja zdążyłem się dobrze poczuć, bo udało mi się odpędzić kłopotliwe myśli. Jej list mnie zirytował.

Piszesz, że chcesz uporządkować swoje stosunki z dziećmi. Myślisz, że skoro minęły cztery lata, to można będzie sprawy jakoś łagodnie ułożyć. Ale co tu jeszcze jest do układania? Skąd taka potrzeba? Przecież tę potrzebę już dokładnie ustaliłeś, kiedy odszedłeś z domu, okradając nas z naszego życia, kiedy nas porzuciłeś, bo nie mogłeś znieść odpowiedzialności za nas. W każdym razie przeczytałam dzieciom Twoją prośbę i one godzą się na spotkanie. Przypominam Ci, bo może o tym zapomniałeś, że Sandro ma trzynaście lat, a Anna dziewięć. Bardzo im ciąży niepewność i niepokój. Nie pogarszaj dodatkowo ich położenia.

Niechętnie pojechałem na spotkanie z własnymi dziećmi.

8.

Ironiczna uwaga Vandy – *Sandro ma trzynaście lat, a Anna dziewięć* – przygotowała mnie na to, że zobaczę inne dzieci niż tamte, które pamiętałem. Ale one były nie tylko inne: wydały mi się obce. One

także patrzyły na mnie jak na kogoś obcego.

Poszedłem z nimi do baru, zamówiłem cały stolik przysmaków. Próbowałem nawiązać rozmowę, ale skończyło się na tym, że ciągle mówiłem ja i mówiłem tylko o sobie. Nie zwracały się do mnie: „tato”, natomiast ja nerwowo powtarzałem setki razy ich imiona. Ponieważ bałem się, że mnie zapamiętają tylko w kontekście tego trzęsienia ziemi, które spowodowałem w ich życiu, w kontekście cierpienia, które im zadałem, bezładnie starałem się przedstawić im siebie jako człowieka szanowanego, o dobrotliwym usposobieniu, który wykonuje taką pracę, że inne dzieci mogą im pozazdrościć takiego ojca. Wydało mi się, kiedy widziałem, jak uważnie mnie słuchają, jak się uśmiechają, jak Anna nawet cichutko się roześmiała, że mi uwierzyli. Miałem nadzieję, że zechcą wiedzieć o tej pracy więcej, że na przykład zaczną pytać, co musiałyby robić, żeby w przyszłości pójść w moje ślady. Ale Sandro nie odezwał się ani słowem, a Anna zapytała, wskazując na brata: „To prawda, że nauczyłeś go zawiązywać sznurówki?”.

Wpadłem w zakłopotanie. Nauczyłem Sandra zawiązywać sznurówki? Nic takiego nie pamiętałem. Ale w tej chwili bez żadnej zrozumiałej racji przestało mnie dziwić, że wydają mi się obce, że poczucie obcości było wpisane już w nasz najwcześniejszy związek. Dopóki mieszkaliśmy z nimi, byłem ojcem nieuważnym, bo były to przecież moje dzieci i przez samo to dobrze je znałem. A teraz, kiedy chciałem przed nimi dobrze wypaść, przypatrywałem się im zanadto – właśnie tak jak patrzy się na obcych – pochłaniałem wszelkie widzialne szczegóły w jakimś amoku, jakbym chciał w ciągu kilku minut dowiedzieć się o nich wszystkiego. Odpowiedziałem Annie kłamliwie: „Tak, ja na pewno nauczyłem Sandra wielu rzeczy, może więc także nauczyłem go zawiązywać sznurówki”. A Sandro wymamrotał: „Nikt tak nie wiąże sznurówek jak ja”. Anna dorzuciła: „Wiąże sznurówki śmiesznie, to niemożliwe, żebyś ty wiązał tak samo”.

Wymusiłem na sobie uśmiech, postarałem się o tak dobrotliwy wyraz twarzy, na jaki tylko było mnie stać. Uważałem za oczywiste, że wiązę buty jak wszyscy, a tego dziwactwa, o którym teraz

w różny sposób mówiły mi dzieci, Sandro musiał się nauczyć bardzo wcześnie, nie wiadomo gdzie. Był jednak przekonany, pomyślałem niespokojnie, że utrzymał prawdziwy związek ze mną dzięki temu swemu niepospolitemu sposobowi sznurowania butów, więc teraz nie powinien odkryć, że się mylił. Coś musiałem z tym zrobić.

Anna patrzyła mi prosto w oczy. Miała zawsze pogodną buzię dzięki szczególnemu rysunkowi ust, wydawała się wesoła, nawet jeśli wesoła nie była. Powiedziała: „Pokaż, jak wiążesz sznurówki”. Zdałem sobie sprawę, że ona również, chociaż na pozór kpi z brata, stara się za pośrednictwem tej sprawy ze sznurówkami znaleźć dowód na to, że nie jestem tylko jakimś panem, któremu trzeba przypisać rolę ojca, ale kimś więcej. Spytałem: „Chcecie, żebym teraz, tutaj pokazał wam, jak sznurowuję buty?”. „Chcemy”, odpowiedziała Anna. Wyjąłem z buta sznurówkę i zaraz ją na nowo włożyłem. Podciągnąłem dwa końce, skrzyżowałem je, przełożyłem jeden koniec pod drugim, mocno zaciągnąłem. Patrzyłem przy tym na nich. Oboje wpatrywali się w mój but z uchylonymi ustami. Trochę zbyt nerwowo skrzyżowałem raz jeszcze końce sznurówki, znowu przełożyłem jeden pod drugim, robiąc pętelkę i znowu mocno zaciągnąłem. Zatrzymałem się, nie wiedziałem co dalej. Po oczach Sandra zobaczyłem, że jest ucieszony, a Anna wyszeptała: „I co dalej?”. Chwyciłem pętelkę, zacisnąłem ją na palcach, podsunąłem pod drugi zwisający koniec, znowu zrobiłem pętelkę i zacisnąłem. „Popatrz – powiedziałem do Sandra – tak wiążesz?”. „Tak”, odpowiedział. A Anna dodała: „To prawda, tylko wy dwaj tak wiążecie buty, muszę się tego od was nauczyć”.

Długo jeszcze wiązaliśmy i rozwiązywaliśmy sznurówki moje i Sandra, dopóki Anna, klęcząc przy nas, nie nauczyła się wiązać ich na nasz sposób. Czasami rzucała: „Ale to jest śmieszne, tak wiązać buty”. Na koniec Sandro spytał: „Kiedy mnie tego nauczyłeś?”. Postanowiłem zdobyć się na szczerą: „Nie sądzę, żebym cię tego uczył, sam się nauczyłeś, patrząc, jak ja to robię”. I od razu, dokładnie od tego momentu, poczułem się tak bardzo winny jak nigdy dotąd.

Później Vanda w liście surowo oceniła to nasze spotkanie, pisząc,

że dzieci wreszcie same zobaczyły, jak się im wymykam, i że je rozczarowałem. Nie wspomniała ani słowem o tej sprawie ze sznurówkami. Sandro i Anna przypuszczalnie nic jej o tym nie powiedzieli. Ale ja dobrze wiedziałem, że to sznurowanie i rozsznurowywanie zbliżyło nas do siebie tak bardzo, że może nigdy od ich urodzenia nie byliśmy bliżej. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem i chciałem wierzyć, że tak właśnie było. W tamtym barze odczułem znacznie mocniej niż dotąd, że są moimi dziećmi, i zrozumiałem – zrozumiałem to całym sobą – że jestem odpowiedzialny za to, co im odebrałem, za całe zło, jakiego doświadczyły, bo pozbawiłem je pewności co do mego uczucia do nich. Męczyłem się tym całe dni i noce, starając się, żeby Lidia tego nie dostrzegła. Bynajmniej nie uwierzyłem, że powiedziały matce: „Rozczarował nas”. A ponieważ miałem pewność, że Vanda nie kłamie – bo nie kłamała nigdy – pomyślałem, że może to Sandro i Anna skłamac. Moje dzieci zrobiły to dla dobra sprawy. Bały się, że mówiąc matce, jak udane było ich spotkanie ze mną, sprawiłyby jej przykrość, a każda jej udręka zawsze je przygnębiała, wołały więc nie mówić o mnie dobrze, aby jej dodatkowo nie rozgoryczyć.

To w tamtym okresie przypomniła mi się moja matka i to, jak przecięła sobie przegub żyletką ojca. Krew kapiała na posadzkę, a my, dzieci, nie pozwoliliśmy, by przecięła sobie drugi. To dziwne, że ta jakaś osłona z nieczułości, którą sobie stworzyłem w dzieciństwie wobec tego rodzaju scen, nagle zniknęła. Dawna męka mojej matki, jej zgnębienie, jej złość, czasami nienawiść do męża wdarły się we mnie niezłagodzone żadnym filtrem z przemożną siłą; czegoś takiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Tak samo dotarło do mnie cierpienie Vandy. I nie tylko po raz pierwszy odczułem całym sobą, jak ją zraniłem, ale też zdałem sobie sprawę z podobną, ciężką do zniesienia intensywnością, że gdy sam wykrętnie unikałem takiego cierpienia, nasze dzieci ono dotknęło, może wręcz zdruzgotało. A mimo to pytały mnie o sznurówki. Zawiązujesz buty jak ja? To jest śmieszne, ale może mnie tego nauczysz.

9.

Widywałem je potem nieraz. Wpadałem do Neapolu możliwie jak najczęściej. Zabierałem je do siebie do Rzymu. Szliśmy na obiad czy kolację do restauracji (to było dla nich coś nowego), spały w mieszkaniu, które wynająłem przy Viale Mazzini i w którym mieszkalem z Lidią. Uprzytomniłem sobie, że jeśli nawet bliskość z nimi znacznie się zacieśniła, nigdy nie zdołałbym usprawiedliwić bólu, jaki im sprawiłem, i to wszystko zaczęło mnie tak męczyć, że zaniedbywałem swoje prace. Ale to, co czuły, ujawniało się już we wszystkim i było nie do wyeliminowania. Anna od początku odpychała przychylność Lidii i programowo demonstrowała nienawiść do niej. Sandro, początkowo tylko nadąsany i nieufny, próbował pogodzić się z sytuacją, potem jednak uznał, że nie może przebywać w domu, w którym mieszkam z inną kobietą, nie jego matką. Oboje wymagali ode mnie największej uwagi, chcieli, żebym w każdej chwili był do ich dyspozycji. Pracowałem wtedy niewiele, w pewne dni nie pracowałem wcale, zacząłem więc mieć kłopoty, a chcąc je zażegnać, coraz mniej czasu poświęcałem Lidii. Moje życie z nią, to swobodne życie, które pędziliśmy, zmieniło się, musiałem teraz pilnować terminów umów, a także stosować się do życzeń Vandy, do kaprysów Sandra i Anny.

– Zajmij się teraz dziećmi – powiedziała pewnego razu Lidia.

– A ty?

– Ja mogę poczekać.

– Nie, na pewno nie będziesz na mnie czekać. Masz swoją pracę, swoich przyjaciół, odejdiesz ode mnie.

– Powiedziałam, że zaczekam na ciebie.

Ale nie była zadowolona, miała teraz coraz więcej swojego osobnego życia, w którym mnie nie było. Ta sytuacja nie zadawała też ani dzieci, ani Vandy, która w moim obcowaniu z nimi stawiała mi wymagania i chciała ode mnie coraz więcej. Zacząłem na przykład spotykać się z Sandrem i Anną tylko w Neapolu, trochę dlatego, że tam mieli szkoły i przyjaciół, ale też trochę dlatego, że nie chciałem komplikować jeszcze bardziej życia Lidii i wreszcie dlatego, że tak zdecydowała Vanda. Oscylowała między urazą

a przychylnością. Jeżeli czymś ją denerwowałem, odpowiadała poirytowaniem, ale jeżeli okazywałem pokorę, była dla mnie troskliwa, zostawiała mi czas na moje prace, pilnując, by dzieci nie zakłócały mi spokoju, a pewnego dnia zaczęła nakrywać do stołu przed obiadem czy kolacją także dla mnie.

Wkrótce wyszło na jaw, że spędzanie czasu z Sandrem i Anną u Vandy jest znacznie wygodniejsze, że lepiej służy moim zajęciom niż zabieranie ich do Rzymu. Kiedyś, kiedy Lidia wyjechała służbowo i przez cały tydzień musiała być poza domem, uległem namowom dzieci i przyjechałem do nich do Neapolu. Zostałem tam nie na jedną noc, ale spędziłem z nimi całe siedem dni. Któregoś wieczora długo rozmawialiśmy z Wandą o czasach, kiedy się poznaliśmy, o tamtym okresie sprzed prawie dwudziestu lat. Leżeliśmy na naszym starym małżeńskim łóżku bez pożądania i przy tych wspomnieniach zasnęliśmy. Kiedy wróciłem do Rzymu, opowiedziałem o tym Lidii. Było to w okresie, kiedy irytowała mnie jej praca, uznanie, z jakim coraz częściej się spotykała, ale też jej wyrozumiałość wobec mojej zawiłej sytuacji, w jaką ją wciągnąłem. Zawsze była mi życzliwa i nie miała za złe, kiedy dzieci i Vanda (nigdy nie mieliśmy oficjalnej separacji, a tym bardziej dopuszczalnego teraz rozwodu) przerywali swoimi długimi telefonami nasze prywatne życie. Lidia niczego nie żądała, na nic nie narzekała, nie znosiła tylko, kiedy pokpiwałem z jej ustawicznych zajęć, a to budziło we mnie podejrzenie, że ani na mnie, ani na naszym związku już jej nie zależy. Dlatego czekałem, żeby kiedyś się wściekła, żeby krzyczała, płakała. Ale nigdy do tego nie doszło, robiła się tylko bardzo blada. Aż w końcu bez słowa zabrała się z mieszkania, które wynajęliśmy, i wróciła do swego dawnego pokoju. Na moje naciski, na błagalne prośby miała prostą odpowiedź: Potrzebuję trochę przestrzeni dla siebie, tak samo jak ty.

Jakiś czas mieszkałem sam, ale było mi smutno. Wracałem do Neapolu do dzieci, do żony najpierw na tydzień, potem na dwa, wreszcie na trzy tygodnie. Ale brakowało mi Lidii. Przez wiele miesięcy obsesyjnie do niej telefonowałem, tyle że potajemnie, tak żeby dzieci i Vanda tego nie zauważyli. Lidia początkowo

odpowiadała, rozmawiała ze mną serdecznie, ale kiedy chciałem się z nią zobaczyć, rozłączała się bez słowa „przepraszam”. Zerwała ze mną dopiero wtedy, kiedy znużony tą namiastką kontaktu i czując coraz mocniej związek z Wandą i dziećmi, zaproponowałem jej, by spotykać się od czasu do czasu bez żadnych zobowiązań: pozostawalibyśmy wolni i cieszylibyśmy się tylko tym, że możemy być razem. To był trudny dla mnie okres. Żeby go jakoś przetrwać, poświęciłem całą energię pewnemu programowi telewizyjnemu, który odniósł znaczny sukces, zacząłem też na tyle dobrze zarabiać, że przenieśliśmy rodzinę do stolicy.

10.

Nie potrafię powiedzieć dokładnie, kiedy zacząłem się bać Vandy. Zresztą nigdy nie powiedziałem sobie wprost: „boję się Vandy”, więc teraz po raz pierwszy próbuję to uczucie uchwycić precyzyjniej. Ale to niełatwe. Nawet słowo, którym się posługuję – „boję się” – nie jest trafne. Uciekam się do niego z wygody, ale jest to słowo mało pojemne, nie mieści w sobie wszystkiego. Jednakże świadom, że pozwalam sobie na uproszczenie, powiem, jak ta sprawa wygląda: od 1980 roku do dziś żyłem z kobietą, która chociaż jest bardzo szczupła, drobnej kości, kruchej budowy, umie pozbawić mnie argumentów i siły, umie sprawić, że staję się tchórzliwy.

Dochodziło do tego, jak sądzę, powoli i stopniowo. Zgodziła się na mój powrót do domu, ale nie czując już tej tkliwej miłości, która cechowała wcześniejsze dwanaście lat naszego małżeństwa. Nie przyszło jej to łatwo. Potem stale podkreślała swoje zasługi. Wiele mówiła o pracy, którą nad sobą wykonała, o wyzbyciu się doszczętnie wszystkich tabu, o swojej determinacji, by stać się kobietą pełnowartościową. Tak zaczął się długi okres, w którym chyba nie umiała złapać równowagi. Schudła, miała rozbiegane oczy, niespokojne dłonie, dużo paliła. Nie chciała, żeby wróciły czasy sprzed naszego kryzysu, nie lubiła przypominać sobie tamtych dni. Zmuszała mnie do wysłuchiwania swoich codziennych popisów, które miały mi udowodnić, że jest znacznie młodsza, piękniejsza, swobodniejsza, wytworniejsza od dziewczyny, dla której ją

porzuciłem.

Wprawiała mnie w zakłopotanie. Starłem się dać jej do zrozumienia, że wystarczy mi jej zwyczajność z dawnych czasów, że niepotrzebnie tyle się trzodzi. Zorientowałem się, że każda oznaka mojego niezadowolenia bardzo ją złości. Myślałem, że będzie dumna ze swojej wygranej i zapomni o krzywdach, i rzeczywiście, w jakimś stopniu o nich zapomniała, ale inaczej, niż się spodziewałem. Unikała wyrzucania mi, ile zła jej wyrządziłem, pomniejszała upokorzenia i zniewagi. Jednak całej udręki tamtych lat nie chciała się wyzbyć, szukała tylko dla niej innego ujścia. W dalszym ciągu była nieszczęśliwa, ale już nadawała temu postać nieprzejednania. Każdy dzień naszego nowego życia był dla niej rozstrzygającą próbą mającą potwierdzić takie oto jej poczucie: już nie jestem tamtą potulną osobą, którą pamiętasz, a jeżeli nie będziesz spełniał tego, czego oczekuję, odejdziesz.

Zauważyłem, że takie jej zachowanie bardzo mnie przygnębia. Jeśli dawniej udręka, którą przeze mnie znosiła, z trudem do mnie docierała, to teraz zorientowałem się, że przybrała ona inną postać, i odczułem cały jej ciężar i całą moją winę. Powoli, przybity poczuciem wyrządzonej krzywdy, zacząłem nad tym panować, starałem się zasypywać ją komplementami, znosiłem cierpliwie przykrości i czekałem, kiedy znudzi się jej wykazywanie mi swojej inteligencji, radykalności swoich poglądów politycznych, swobody w łóżku, pewności siebie. To poskutkowało. Przestała mnie zarzucać cytatai, zrezygnowała z podporządkowywania mnie sobie, ucichły jej porywy seksualne, zaczęła znowu trochę o siebie dbać. Jednak wciąż przygnębiało ją każde moje odmienne zdanie. Niepokoiły moje odmienne sądy. Dopatrywała się w nich niezgody, a tej nie umiała znieść: bladła, zapalała papierosa, zaciągała się bardzo często, ręce jej drżały, broniła swojego zdania w sposób absurdalny. Uspokajała się, kiedy wreszcie przyznawałem jej rację, wtedy natychmiast zmieniał się jej nastrój, stawała się pogodna i wielkoduszna. Zauważyłem, że jeśli w dawnych czasach to ona zawsze szukała ze mną zgody, bo to ją wyciszało, to teraz uciszała się dopiero wtedy, kiedy zgodę powodowały moje ustępstwa. Każde

moje odmienne zdanie przypuszczalnie wydawało się jej zapowiedzią kryzysu, a tego się obawiała, bo wolała sama zdecydować o ewentualnym zerwaniu. Nauczyłem się nie komentować jej spraw, milczeć na ich temat i zawsze prezentować życzliwą jednomyślność.

Taki stan rzeczy trwał przez kilka pierwszych lat. Był to okres dość burzliwy. Potem Vanda odnalazła równowagę, chciała pracować, mimo że ja dobrze zarabiałem, i znalazła posadę w biurze jakiegoś przedsiębiorstwa. Chociaż sprawiała wrażenie coraz bardziej kruchej i coraz bardziej zmęczonej, miała jednak w sobie wiele energii i w najmniejszym stopniu nie zaniedbywała domu, mnie, dzieci. A ja nieustannie starałem się nie popełniać błędów. Wspierałem ją w jej pracy, byłem niemym obserwatorem zadreżniania pomocy domowych, ściśle przestrzegałem reguł domowego porządku. Prosiłem ją, by mi towarzyszyła na publicznych spotkaniach, a ona chętnie na to przystawała, obserwowała wszystko i wszystkich, a potem w domu trafnie wytykała próżność różnym znanym osobistościom i jak najgorzej osądzała kobiety, które odnosiły się do mnie zbyt bezpośrednio: Ach, te słodkie głosiki, naciągana uroda, pretensjonalne rozmówki. Wykpiwała wszystkich, żeby mnie rozerwać.

Jedyną sprawą, do której nieraz próbowałem się wtrącać, było wychowanie dzieci. Denerwowało mnie, że narzuca im zanadto ascetyczne życie: żadnych zbędnych wydatków, mało telewizji, mało muzyki, żadnych wieczornych wyjść, dużo nauki. Sandro i Anna źle to znosili i raz jedno, raz drugie przy różnych okazjach prosiło mnie bez słów, żebym się za nimi wstawił. Byli przekonani, że wróciłem do domu z miłości do nich, więc upominałem siebie: okaż się ojcem, musisz zabierać głos w ich sprawie, nie możesz się przed tym uchylać. I rzeczywiście, czasami odzywałem się na ich temat, zwłaszcza kiedy popełniali jakieś głupstwa, a potem Vanda wciągała ich w długie dywagacje i bez końca zamezczała swoją nieustępliwą logiką. Nie umiałem się w takich wypadkach powstrzymać i ostrożnie, z wyważonym umiarem, wypowiadałem swoje zdanie. Vanda milkła, pozwalała mi perorować, dzieci się rozjaśniały, Anna

patrzyła na mnie z wdzięcznością. A potem? Potem matka odczekiwała chwilę i zachowywała się tak, jakby nie usłyszała, co mówiłem, albo jakby uznała, że mówiłem to żartobliwie, więc nie warto się do tego odnosić, czy wreszcie tak, jakbym nie istniał. Ciągnęła dalej tym samym tonem swój wywód, stosując jeszcze twardszą argumentację, a na koniec pytała: „Powiedzcie szczerze, co o tym myślicie, zgadzacie się ze mną czy nie?”.

Kiedyś nie wytrzymała i rzuciła mi chłodno:

– Kto teraz mówi, ja czy ty?

– Ty.

– Wobec tego wyjdź i pozwól, że przedyskutuję to z moimi dziećmi sama.

Wyszedłem, jak chciała, zawiodłem dzieci. Potem parę godzin trwało między nami przykre milczenie, aż w końcu, już w nocy, doszło do prawdziwej kłótni.

– Nie potrafię być dobrą matką?

– Wcale tak nie twierdzę.

– Chcesz, żeby wyrosły na takie osoby jak Lidia?

– Co tu ma do rzeczy Lidia?

– Lidia jest dla ciebie ideałem.

– Daj spokój.

– Jeżeli chcesz, żeby były takie jak Lidia, przenieście się całą trójką do niej, ja już mam was dość.

Ustałem, nie chciałem, żeby krzyczała, płakała, żeby się na nowo zadreczęła. Wciąż czaiło się w niej napięcie, to się nigdy nie kończyło. Zacząłem udawać zobojętnienie, kiedy męczyła dzieci niezliczonymi pytaniami, na które chciała dostać precyzyjne i szczerze odpowiedzi. Sandro i Anna patrzyli już na mnie nieufnie. Pewnie z początku zastanawiali się, jaki jest ten człowiek, co sobie myśli, czy wreszcie zechce im pomóc i krzyknie: Dość tego, zostaw ich w spokoju. Potem dali sobie spokój. Pewnie zrozumieli, że równowaga w naszym domu nie może wyglądać inaczej. Tę równowagę mogłem zakłócić tylko tak, że na słowa, które Vanda miała wciąż na końcu języka (albo stale będziesz okazywał, że akceptujesz mnie bez żadnych warunków, albo drzwi są otwarte,

zabieraj się), odpowiedziałbym: Możesz sobie wrzeszczeć ile chcesz, wykańczaj i siebie, i dzieci, ja już mam dość, odchodzę. Ale nigdy się na to nie zdobyłem. Raz byłem tego bliski, ale ostatecznie przemilczałem.

I tak płynął rok za rokiem, staliśmy się rodziną zamożną, cieszącą się szacunkiem. Zarobiłem trochę pieniędzy. Vanda ze swoją pasją do oszczędzania zapamiętała je odkładała i kupiliśmy to mieszkanie tuż nad Tybrem. Sandro zrobił dyplom, Anna również. Z trudem znajdowali pracę, potem ją tracili, dotąd zwracają się do nas o wsparcie, prowadzą życie nieuporządkowane, tymczasowe. Sandro ma dzieci z każdą kobietą, którą pokocha, jest ich już czworo, poświęca im wiele czasu, uważa, że to jedyna rzecz, która się liczy. Anna nie chce mieć dzieci, twierdzi, że to jeden z wielu prymitywnych zapędów rodzaju ludzkiego, jakaś pozostałość po zwierzęcej naturze. Ani jedno, ani drugie nie zwraca się z żadną prośbą do mnie, wiedząc, że wszystkie nasze sprawy ma w swoim ręku matka. Widzą we mnie tylko snujące się po domu nieszkodliwe, niemalże nieme widmo. Nie ma w tym ich winy. Całe moje życie toczyło się bez nich. W rodzinie byłem jak nieuchwytny cień, nie odzywałem się, nawet kiedy Vanda świętowała hucznie *moje* urodziny, zapraszała *moich* przyjaciół, *moich* krewnych. Nie było już między nami żadnych konfliktów. We wszystkich sytuacjach publicznych lub prywatnych milczałem albo gestem dawałem do zrozumienia, że rzecz z lekkim uśmiechem akceptuję, a Vanda zwracała się do mnie tonem ironicznym, porozumiewawczo aluzyjnym, na pozór serdecznym.

Często odzywała się w nas ironia, czasami sarkazm. I zawsze żyliśmy na styku życzliwości i niezgody. Jeżeli przypadkiem wypowiadałem rażące Vandę zdanie albo rzucałem jakieś lekkomyślne spojrzenie, zaraz słyszałem ciętą uwagę i najchętniej schowałem się w sobie. Co do moich zalet, co do moich zasług... No cóż. Vanda często dawała do zrozumienia mnie, dzieciom, służącym, przyjaciołom, gościom, że jestem dobrym człowiekiem, dobrym towarzyszem życia i że w młodości miałem wielki talent. Ale nigdy nie entuzjazmowała się szczególnie moją pracą, moimi sukcesami,

a jeżeli czasami je pogodnie doceniała, robiła to, aby podkreślić, że przyniosły nam względną zamożność.

Kiedyś, może piętnaście lat temu – zdarzyło się to w lecie, byliśmy na wakacjach i spacerowaliśmy nad morzem – niespodziewanie odezwała się zwykłym tonem, ale z powagą:

– Nic o nas nie pamiętam.

Odważyłem się zapytać:

– O nas z jakiego czasu?

– Z każdego. Od chwili, kiedy się poznaliśmy, aż do teraz, aż do chwili kiedy umrę.

Nie wdałem się w spór, nie zbyłem nawet żartem tego nieokreślonego stwierdzenia. Uwolnił mnie od zabrania głosu jakiś błysk w wodzie – była to stulirowa moneta. Podniosłem ją, podałem Vandzie, żeby ją udobruchać. Przyjrzała się monecie uważnie i rzuciła z powrotem do morza.

11.

Zastanawiałem się często nad tymi kilkoma słowami; czasami nic dla mnie nie znaczą, czasami jest w nich wszystko. I Vanda, i ja dobrze opanowaliśmy sztukę przemilczania. Dzięki kryzysowi sprzed lat oboje nauczyliśmy się, że chcąc żyć razem, musimy mówić znacznie mniej, a znacznie więcej milczeć. To odnosiło skutek. Wszystko, co Vanda mówi lub robi, zawsze równoważy to, co ukrywa. A moja nieustanna zgoda z nią oznacza, że od dziesiątków lat nie ma nic, absolutnie nic, co odczuwalibyśmy tak samo. W 1975 roku, w czasie jednego z naszych brutalnie szczerych zderzeń, krzyknęła do mnie: „Dałeś sobie rozciąć obrączkę, dlatego że chcesz się mnie pozbyć”. A ponieważ niemal bezwiednie potwierdziłem to skinieniem głowy – wtedy nie panowałem jeszcze nad sobą dostatecznie – zdjęła obrączkę z palca i rzuciła nią. Złote kółko odbiło się od ściany, potem od kuchenki, spadło na podłogę i potoczyło się pod szafkę, jakby miało w sobie życie. Pięć lat później, kiedy już mój powrót wydał się jej ostateczny, obrączka pojawiła się znowu na palcu Vandy. Znaczyło to: czuję się na nowo związana z tobą, a ty? Nieme pytanie miało teraz nową, władczą

tonację, domagało się natychmiastowej odpowiedzi, milczącej albo wykrzyczanej. Odczekałem parę dni, ale widziałem, że przekręca sobie obrączkę na palcu coraz bardziej nerwowo. Ofiarowana mi wierność miała być przede wszystkim sprawdzianem moich intencji. Poszedłem do jubilera i wróciłem do domu ze złotym kółkiem na palcu, a na wewnętrznej stronie kazałem wygrawerować datę mego powrotu do domu. Vanda nic o tym nie wspominała, ja też milczałem. Ale niemal natychmiast po powrocie obrączki na palec – trzy miesiące po zawarciu zgody z Vandą – miałem już kochankę i byłem uparcie niewierny żonie aż do niedawna.

Nie umiem powiedzieć, dlaczego zachowałem się w ten sposób. Na pewno szło o przyjemność samego uwodzenia, o pożądanie, o poczucie (nieuzasadnione), że takie romansowanie ożywia mnie twórczo. Wolę jednak przyjąć wyjaśnienie mniej oczywiste, ale prawdziwsze: chciałem dowieść samemu sobie, że chociaż na nowo stałem się mężem, chociaż wróciłem do rodziny, chociaż włożyłem na palec obrączkę, jestem wolny, nie krępują mnie żadne więzy.

W tego rodzaju rozmyślania wdawałem się jednak bardzo ostrożnie. Każdej z tych zdobytych kobiet w pewnej chwili mówiłem: Pragnę cię, jakżeby inaczej, ale jeżeli chcemy być razem dłużej, musimy sobie jasno powiedzieć – jestem żonaty, moja żona i dzieci przeżyły przeze mnie więcej, niż mogły znieść, nie chcę, żeby znowu cierpiały, a zatem to wszystko, co ma nas łączyć, to nic innego jak tylko przelotna przyjemność na krótko i w największej dyskrecji. Jeżeli to cię zadowala, to dobrze, jeżeli nie, to dajmy sobie spokój. Nigdy żadna nie była tym urażona. Czasy się zmieniły i coraz częściej panny i mężatki kochały się bez skrępowania, tak jak mężczyźni. Dziewczyny czuły się staroświeckie, jeżeli zbyt długo się opierały, a mężatki, nawet jeżeli były matkami, traktowały cudzołóstwo jako błahy grzeszek lub jeszcze zwyczajniej, jako męską potrzebę dominacji. Wdawały się więc w romanse, nie czekając na nie wiadomo jaką miłość, a mnie słuchały rozbawione, jakby te moje wstępne zastrzeżenia były podniecającym żarciem. I tak właśnie dochodziło do kolejnych przygód. Rzadko, ale więcej niż raz, miałem wrażenie, że tracę głowę, i zaczynałem się obawiać, czy

znowu coś się nie zaczyna. Tak zdarzało się zwłaszcza wtedy, kiedy nie ja, ale moja partnerka mówiła, że ma już dość. Otwierała się wtedy niezasklepią rana, która pozostała po Lidii, i przez kilka tygodni czy kilka miesięcy zdawało mi się, że nie potrafię tego znieść.

Ale znosiłem i właśnie wspomnienie Lidii ratowało mnie przed nowymi kłopotami. Nigdy nie zagubiłem się w jakimś romansie, bo ciągle czułem się związany z Lidią. Nigdy jej nie zapomniałem, myśli o niej wciąż mnie nachodziły. Dlatego nie było roku, żebym nie znalazł jakiegoś pretekstu i się z nią nie spotkał. Cały czas interesowałem się jej życiem. Ciągle jeszcze pracuje na uniwersytecie, ale już zbliża się do emerytury. Pisuje do gazet, jest bardzo cenioną ekonomistką, zwłaszcza teraz, w czasach bezrobocia i niedostatku. Od trzydziestu lat jest żoną dość znanego pisarza, jednego z tych, którzy całe życie cieszą się jakim takim uznaniem, a ledwo zamkną oczy, nikt już ich nie czyta. Jej małżeństwo okazało się udane. Mają trzech synów, już dorosłych, wszyscy pracują za granicą, mają dobrze płatne posady w liczących się zawodach. Cieszę się razem z nią, szczęśliwie się złożyło, że ma pogodne życie. Początkowo nie chciała się ze mną spotykać; wyczekiwałem na nią pod jej bramą, wypatrywałem jej z daleka, podobało mi się, jak się ubiera, zawsze w starannie dobranych kolorach, urzekała mnie jej elegancja. Po latach zgodziła się w końcu na spotkanie i stało się to naszym corocznym zwyczajem, niemal obrzędkiem, który ciągle bardzo mnie wzrusza. Kiedy się widzimy, opowiada mi wiele o sobie. To były i są spotkania całkowicie niewinne. Słucham z uwagą wszystkiego, co mi opowiada. Jej życie z wolna stało się znacznie pełniejsze niż moje, a teraz, kiedy jej osobiste sukcesy nie mają już dla niej większego znaczenia, cieszy się coraz bardziej z sukcesów swoich chłopców. Jej mąż wszystko o nas wie, przypuszczam, że Lidia opowiada mu nawet o moich rozgoryczeniach starego człowieka, o uskarżaniu się na Sandra i Annę. Vanda natomiast nie ma pojęcia, że nigdy nie przerwałem kontaktów z kobietą, dla której swego czasu ją porzuciłem. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co by było, gdyby się o tym dowiedziała.

Imię Lidii nie pojawia się w naszych rozmowach od czterdziestu lat. Jestem pewien, że jakoś zniosłaby pełny wykaz moich kochanek, ale nie zniosłaby tego, że widuję Lidię, że jej słucham i jeszcze ją kocham.

Rozdział trzeci

1.

Nagle się obudziłem. Wciąż byłem w gabinecie, leżałem na boku, na listach Vandy. Światło było zapalone, ale przez szpary żaluzji przedostawała się już różowa jasność, zaczynał się dzień. Spałem wśród gniewu, błagań i łez sprzed czterdziestu lat.

Oprzytomniałem; bolały mnie plecy, kark i prawa ręka. Chciałem wstać, ale miałem z tym trudności, musiałem najpierw podeprzeć się rękami, a dopiero potem, stękając i przytrzymując się biblioteki, stanąć prosto. Czułem ucisk w piersiach i jakiś niepokój, pewnie pod wpływem snu, z którym jeszcze się nie rozstałem. Co mi się śniło? Że byłem tutaj, w zdewastowanym gabinecie. Lidia leżała na podłodze między książkami, wyglądała jak wiele lat temu. Kiedy na nią patrzyłem, wydawałem się sobie bardzo stary i nie odczuwałem radości, tylko przykrość. Całe moje mieszkanie wyruszało z Rzymu w drogę, przesuwało się powoli, chybotliwie jak łódka na kanale. Początkowo ten ruch wydawał mi się zupełnie normalny, potem spostrzegłem, że coś dzieje się nie tak, jak powinno. Mieszkanie w całości przemieszczało się w stronę Wenecji, a jednak wbrew wszelkiej logice jedna jego część nie ruszała się z miejsca. Nie umiałem zrozumieć, jak to możliwe, że są dwa gabinety zupełnie identyczne, łącznie z tym, że w jednym i drugim byliśmy oboje, i ja, i Lidia, tyle że jeden tkwi w miejscu, odłączony od mieszkania, a drugi razem z całą jego resztą przesuwa się coraz dalej. Potem zdałem sobie sprawę, że ta dziewczyna, która razem ze mną udaje się do Wenecji, to nie Lidia, tylko z całą pewnością – sprawdziłem to – tamta dziewczyna od soluksa. Zabrakło mi tchu, kiedy to odkryłem.

Popatrzyłem na zegarek, była piąta dwadzieścia. Bolała mnie również prawa noga. Z wysiłkiem podciągnąłem żaluzje, otworzyłem przeszklone drzwi i wyszedłem na balkon, żeby na

świeżym powietrzu na dobre oprzytomnieć. Słysząc było zapalczywy śpiew ptaków, w przerwach między kamienicami widać było chłodne prostokąty nieba. Pomyślałem, że muszę się pozbyć tych listów, zanim Vanda się zbudzi. Nie byłaby ucieszona, widząc, że przetrwały, że złodzieje wydobyli je skądś na światło dzienne, że leżą tutaj, na podłodze, że ja je właśnie przeczytałem – że je przeczytałem po raz pierwszy, nie ponownie – jakbym je otrzymał dopiero tej nocy. Przypuszczalnie już nawet nie pamiętała, że je napisała, więc wpadłaby w złość i nie bez racji. Trudno byłoby znieść, że słowa napisane w chwilach zagubienia wiele lat temu, w jakże innych okolicznościach, znienacka znowu się pojawiają. Zdania w tych listach były nią bez niej samej, były echem głosu, którym już nie mówiła. Wróciłem szybko z balkonu do gabinetu, zebrałem listy z podłogi i wrzuciłem do worka na śmieci.

Dopiero wtedy przysłała kolej na pytanie, co teraz robić. Zaparzyć kawę? Wziąć prysznic i wreszcie się pozbierać? Czym prędzej sprawdzić, czy nie wyszły na wierzch jakieś nowe świadectwa czegoś przykrego? Rozejrzałem się po pokoju – sprawdziłem, jak wyglądają podłoga, meble, worki ze śmieciami, wyłamane półki, sufit. Zatrzymałem wzrok na sześcianie z Pragi, na tym przedmiocie, w którym ukrywałem swoje tajemnice. Zanadto wystawał, jakby za chwilę miał spaść, uznałem, że koniecznie trzeba go wepchnąć głębiej. Wcześniej jednak zacząłem nasłuchiwać, czy Vanda jeszcze śpi, ale śpiew ptaków był tak głośny, że tłumił wszelkie inne odgłosy, ruszyłem więc przez kolejne pomieszczenia, starając się otwierać drzwi jak najciszej, i wszedłem na palcach do sypialni. Zobaczyłem leżącą w półmroku żonę – drobną starą kobietą śpiącą z niedomkniętymi ustami i oddychającą miarowo. Przyszło mi do głowy, że pewnie coś się jej śni, że właśnie w czymś uczestniczy. Nie posługuje się swoją logiką, którą przez całe życie broniła się przede mną, przed dziećmi, przed światem, wreszcie pozwoliła sobie z niej nie korzystać. A ja nic o tych jej przeżyciach nie wiem i nigdy nie będę wiedział. Pocałowałem ją w czoło. Na moment wstrzymała oddech, ale po chwili znowu oddychała normalnie.

2.

W sześcianie z Pragi przechowywałem około dwudziestu zdjęć zrobionych polaroidem w latach 1976–1978. Kupiłem ten polaroid, bo w tamtych latach ciągle Lidię fotografowałem. Zwykle aparaty, jeśli nie umiało się samemu wywoływać filmów i robić odbitek, wymagały powierzenia tego fotografowi, a tym samym odsłaniania swojego prywatnego życia przed kimś obcym, natomiast tą rewelacją techniczną można było zrobić zdjęcie i natychmiast je mieć. Sfotografowana Lidia ledwo zdążyła podejść, a już razem ze mną oglądała ten cud, który wyłaniał obraz jej szczupłego ciała na małym prostokacie papieru wysuwającym się z aparatu. Tych polaroidowych zdjęć miałem wówczas bardzo dużo. Powracając do Vandy, wziąłem ze sobą tylko te, na których w moim poczuciu widać było, że fotografując Lidię, fotografowałem moją radość życia. Na niejednym z tych zdjęć Lidia była naga.

Po tym, co stwierdziłem, wszedłszy na drabinkę, poczułem się jak ogłuszony. Z jakiegoś zupełnie nieodgadnionego powodu przypomniał mi się Labes, o którym w ciągu tej nocy ani razu nie pomyślałem. „Wybrał się na kotki”, powiedział, uśmiechając się, młody policjant. Kiedy mowa o seksie, zawsze towarzyszy temu śmiech, chociaż wszyscy wiedzą, że seks może ludzi skłócić, unieszczęśliwić, pchnąć do przemocy, doprowadzać do rozpacz, a nawet do śmierci. Na pewno wielu moich przyjaciół i znajomych uśmiechało się czy wręcz śmiało, kiedy opuściłem dom. Musiało ich to rozbawić („Aldo teraz sobie używa, ha, ha, ha”), jak Nadara, mnie i policjanta rozbawił pomysł, że Labes ruszył na wiadomy podbój. Ale ja wróciłem do domu, a Labes nie. Dotąd się nie pokazał. Nie słyszałem miauczenia, ciągle dochodził mnie tylko śpiew ptaków. Pomyślałem o Vandzie: wtedy popatrzyła na mnie z wyrzutem, nie rozśmieszył jej żarcik policjanta. Była przekonana, że Labes został porwany i złodzieje wcześniej czy później zażądadają okupu. Ale żaden z nas, mężczyzn, nie potraktował poważnie domysłów starej kobiety, zwłaszcza nie potraktował ich tak policjant: złodzieje nie porywają kotów, żeby wyłudzić pieniądze za ich zwrot. A na pewno – powiedziałem sobie, stojąc na drabince –

nie postępują tak Cyganie. I wydało mi się, że już wiem, dlaczego nagle przypomniałem sobie o Labesie. Fotografie i kota łączył eros i zaginięcie. Nie okradły nas cygańskie dzieci i nie szło w tym o zdobycie jakiegoś złotego łańcuszka. Złodzieje zdewastowali nam mieszkanie, żeby odkryć słabe strony mieszkańców, a potem ujawnić się i zażądać pieniędzy.

Przypomniałem sobie, jak dziewczynę od soluksa zaciekał kot, jak potem uważnie przeciągała wzrokiem po książkach, ozdobach, po granatowym sześcianie. Ten sześcian natychmiast dostrzegła, chociaż stał wysoko i nie rzucał się w oczy. „Jaki ma piękny kolor”, powiedziała. Ależ miała wprawne oko. Czułem, że ogarnia mnie złość, więc próbowałem się uspokoić. W moim wieku łatwo zmieniać podejrzenia w rzekomo uzasadnione domysły, domysły w absolutną pewność, a absolutną pewność w obsesję. Zszedłem na dół, ostrożnie, stopień po stopniu. Takie domysły często mylą, musiałem wobec tego zaraz sprawdzić, czy nie doszło tu do czegoś bardziej oczywistego, a zarazem bardziej niebezpiecznego. Złodzieje – siłą woli wyrzekłem się w domysłach dziewczyny od soluksa i rozumowałem ogólnie – znaleźli sześcian, zdołali go otworzyć, ale może mieli za mało czasu na zabawę ze zdjęciami i wyrzucili je na stertę niezliczonych rzeczy wywalonych z półek i schowków. To było najbardziej prawdopodobne. A w takim razie muszę natychmiast te sterty sprawdzić – i tutaj, i w innych pokojach. Vanda w żadnym razie nie może znaleźć zdjęć z polaroidu, byłaby to katastrofa. Poszłaby na marne moja uległość w tych wszystkich latach, moja niezwykła ostrożność, kontrolowanie się, gdybyśmy teraz, na koniec, w starości, kiedy już oboje jesteśmy szczególnie nieodporni i kiedy trzeba wzajemnie się wspierać, mieli sobie skoczyć do gardeł. Postanowiłem przejrzeć uważnie każdy kąt i zacząłem od rozgrzebywania rzeczy zrzuconych na stertę pod biblioteką, łudząc się, że mogłem mieć te fotografie w zasięgu wzroku przez całą noc, a mimo to ich nie spostrzec.

Ale im dłużej szukałem, tym bardziej się rozpraszałem. Myślałem o Lidii, o naszych szczęśliwych czasach. Gdybym znalazł te zdjęcia, wrzuciłbym je do worka na śmieci jak listy Vandy. Ale nie umiałem

pogodzić się z myślą, że przepadną na zawsze, że już nie będę mógł od czasu do czasu, kiedy zostanę sam w domu, patrzeć na nie, wzruszać się, smucić, pocieszać się nimi, odczuwać, że przynajmniej przez krótki okres mego życia było mi dobrze. Już od dłuższego czasu radość z tamtych dni, jej łagodna aura niezatruwana żadną goryczą wydawała mi się starczym fantazjowaniem, przywidzeniami niedotlenionego mózgu. Ale co może się stać teraz? Grzebałem w zrzucanych na stertę rzeczach to z zapamiętaniem, to ze zniechęceniem i wkrótce nabrałem pewności, że nie ma tych zdjęć ani w gabinecie, ani w salonie. A zatem? Wkrótce Vanda zabierze się do pracy i znacznie sprawniej niż ja zacznie przywracać porządek. Jej uważnego wzroku nie mąciło zgubne fantazjowanie. Fotografie z polaroidu mogły być rzucone gdzieś w sypialni, w pokojach Sandra i Anny. Gdyby Vanda je znalazła, nie tylko zrozumiałaby, że nigdy nie zapomniałem o Lidii i że przez tak wiele lat Lidia zachowała na tych zdjęciach swoją nietkniętą młodość, podczas gdy ona w tym czasie nieuchronnie starzała się w mojej obecności, na moich oczach, ale też doszłoby do tego, że chcąc ją uspokoić, musiałbym zniszczyć te fotografie przy niej, musiałbym je spalić w płomieniu kuchenki gazowej, nie rzuciwszy na nie okiem nawet po raz ostatni.

Znowu ostrożnie, by nie zgrzytnąć klamką, otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju Anny. Także tam wszystko było w nieładzie. Szukałem dalej, przerzucając setki pocztówek, wycinków z gazet, zdjęć aktorów i piosenkarzy, jaskrawych rysunków, odsuwając wyschnięte długopisy, linijki, ekierki, wszystko, na co natrafiałem. Potem usłyszałem, że drzwi sypialni otwierają się i nadchodzi Vanda. Stała na progu blada, z podkrążonymi oczami.

- Znalazłeś Labesa?
- Nie znalazłem. Zaraz bym cię obudził.
- Spałeś?
- Trochę.

3.

Zjedliśmy śniadanie, jak zwykle nie odzywając się do siebie.

Próbowałem tylko w pewnej chwili namówić ją, żeby jeszcze się położyła, ale nie chciała o tym słyszeć. Kiedy zamknęła za sobą drzwi łazienki, odetchnąłem z ulgą i zacząłem w pośpiechu, energicznie przeszukiwać dawny pokój Sandra. Ale miałem za mało czasu, Vanda pojawiła się po dwudziestu minutach z jeszcze mokrymi włosami, z wyrazem przygnębienia na twarzy, a mimo to już gotowa do porządkowania całego mieszkania.

– Czego szukasz? – spytała zaniepokojona.

– Niczego, wszystko tylko porządkuję.

– Jakoś mi na to nie wygląda.

Widziała, że sobie nie radzę, nigdy nie liczyła na moją pomoc, zawsze była przekonana, że może polegać tylko na sobie, bo załatwia sprawy szybciej i lepiej.

Odpowiedziałem jej uszczypliwie:

– Widziałaś, jak uporządkowałem salon i gabinet?

Poszła zobaczyć i wróciła niezadowolona.

– Jesteś pewien, że nie powyrzucałeś tego, co może ci się przydać?

– Usunąłem tylko to wszystko, co zniszczyli.

Pokiwała bez przekonania głową, a ja zaniepokoiłem się, że może zechce grzebać w workach ze śmieciami i sprawdzać, co powyrzucałem.

– Możesz mi zaufać – powiedziałem.

Wymamrotała:

– Te worki tu przeszkadzają, wynieś je do pojemników na śmieci.

Było mi to nie na rękę, nie chciałem zostawiać jej samej w domu. Chciałem wciąż być blisko niej, a gdyby fotografie gdzieś się pokazały, zająć się nimi wcześniej niż ona.

– Chyba lepiej, żebyś mi pomogła – powiedziałem. – Za dużo tych worków.

– Przejdiesz się parę razy. Ktoś musi zostać tutaj.

– Po co?

– Mogą zatelefonować.

Wciąż była przekonana, że złodzieje się odezwą i zechcą nam oddać Labesa za okup. To jej przekonanie było bardzo sugestywne, więc na nowo zacząłem mieć podejrzenia co do dziewczyny od

soluksa. To pewnie ona zatelefonuje. A może nie, może zatelefonuje jej rzekomy współnik, ten typ od marynarek ze sztucznej skóry. Powiedziałem:

- Zechcą rozmawiać ze mną.
- Nie sądzę.
- Zwykle rozmawia się z mężczyzną.
- Gdzież tam.
- Naprawdę zapłaciłabyś za kota?
- A chcesz, żeby go zabili?
- Nie chcę.

Chodziły mi po głowie głosy tamtej dziewczyny i tamtego mężczyzny, ich kpiny, śmiech. Za kota – powiedzą – chcemy tyle a tyle, a za fotografie trochę więcej. A jeśli nie? Jeśli nie, to pokażemy je pańskiej żonie. Oczywiście mógłbym im odpowiedzieć, że ta dziewczyna na zdjęciach to przecież moja żona w młodości, ale na pewno wybuchnęliby na to śmiechem. No to nie ma o czym mówić, oddamy zdjęcia pańskiej żonie razem z kotem. Możliwe, że tak będzie, niczego nie można wykluczyć. Starałem się zyskać na czasie. Powiedziałem z westchnieniem:

- Ile teraz wszędzie draństwa.
- Zawsze tak było.
- Ale teraz pakują ci się z tym do domu.
- Tak mówisz?

Umilkłem, a Vanda rzuciła szorstko:

- Nie spieszy ci się, co?

Pochyliłem się po kawałek szkła, którego wcześniej nie spostrzegłem.

– Może lepiej uporządkować najpierw całe mieszkanie, a dopiero potem wynieść śmieci.

- Zabierają za dużo miejsca, powynosić je od razu.

Zaniósłem wszystkie worki ze śmieciami do windy i w końcu zabrakło w niej miejsca dla mnie. Zszedłem piechotą na parter i nacisnąłem przycisk windy, która zaraz zjechała na dół. Zawlokłem worki do pojemników; były pełne, bardzo wypchane, nie wchodziły ani do pojemnika na papier, ani do tych na szkło

i plastik, nie udawało się ich wepchnąć do żadnego. Musiałbym porozdzielać zawartość, a nie miałem na to ochoty. Zostawiłem worki pod pojemnikami, starannie ustawione, jeden przy drugim, mając nadzieję, że Nadar nie patrzy na mnie przez okno.

Było już upalnie, otarłem pot. Domniemane spojrzenie Nadara sprawiło, że przyszły mi też do głowy spojrzenia kogoś innego. Skąd pewność, że złodzieje zgłoszą się przez telefon? Może już są gdzieś w pobliżu i mnie obserwują? Czy ten ciemnoskóry chłopak oparty o czyjeś auto, jedyna osoba na pustej jeszcze ulicy, nie mógł być jednym z nich? Wróciłem do wejścia, kontrolując kątem oka, co robi chłopak. Serce biło mi szybciej, wydawało się, że całe ciało mam obrzękłe, bolał mnie kark. Po raz pierwszy zapragnąłem, żeby znieścacka pojawili się Sandro i Anna, żeby mi pomogli, żeby przede wszystkim uwolnili mnie spod władzy tej mojej starczej natury, żartując ze mnie, jak to mieli w zwyczaju. Nie przesadzaj, wszędzie widzisz zagrożenia i spiski, nie umiesz twardo stąpać po ziemi, ciągle układasz w głowie scenariusze filmów telewizyjnych, które pisałeś dziesięć lat temu.

Wróciłem do domu wystraszony. Wystarczyłyby mi jeden rzut oka, żeby zrozumieć, że Vanda znalazła tymczasem fotografie. Przygotowałem sobie na wszelki wypadek stosowne słowa wyjaśnienia, które mogłyby mi się przydać dla złagodzenia przykrych sytuacji. Nie mam o tym pojęcia, nie wiem, skąd to się wzięło, daj mi to wszystko, żebym i to mógł wyrzucić. Miałem zamiar nalegać, byśmy jak najprędzej zaprowadzili tu porządek: mieszkanie w takim stanie było jak zachęta, żeby je jeszcze bardziej zdewastować. Vanda zresztą była chyba tego samego zdania, skoro wstała z zamiarem zabrania się do pracy. Ale kiedy wszedłem do salonu, nie wydało mi się, by zdążyła wiele zrobić. Zastałem ją na tym, że zaglądała do każdego kąta, jakby coś zgubiła. Gdy usłyszała, że wróciłem, przystanęła z zaciśniętymi ustami i wygładziła na sobie letnią sukienkę.

4.

Zrobiło się już bardzo upalnie. Zostawiłem Vandzie salon i gabinet,

a sam zabrałem się do porządkowania pokoi Anny i Sandra. Tak rozdzieliłem między nas pracę, żeby w spokoju szukać fotografii. Nie słyszałem ani przez chwilę krzątania żony, panowała cisza, poszedłem więc porządkować sypialnię i łazienkę. Kiedy nabrałem pewności, że na fotografii nie natrafie i że wobec tego muszę się spodziewać najgorszego, wróciłem do salonu. Zobaczyłem, że Vanda siedzi na progu szeroko otwartych drzwi balkonowych i patrzy przed siebie. Przez cały ten czas nic nie zrobiła, salon był w takim stanie jak rano.

– Nie czujesz się dobrze? – spytałem.

– Czuję się znakomicie.

– Coś idzie nie tak?

– Wszystko.

Powiedziałem więc najczulszym tonem, na jaki było mnie stać:

– Zobaczysz, że Labes wróci.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie.

– Dlaczego dopiero teraz zechciało ci się zawiadomić mnie, z jakiego powodu wybrałeś dla niego to imię?

– Nigdy tego przed tobą nie kryłem. To jest nasze zwierzę domowe i dlatego nazwałem je Labes, co w tym złego?

– Kłamiesz, zawsze mnie okłamywałeś i na starość także tylko kłamiesz.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz doskonale: na podłodze leży słownik łaciński.

Nie odezwałem się. Vanda, kiedy chce sobie ulżyć, zaczyna zawsze od mało znaczących drobiazgów. Podszedłem do miejsca, które wskazała niechętnym gestem. Na podłodze, pomiędzy książkami w dobrym stanie, leżał słownik łaciński otwarty na stronie, na której znajdowało się imię wybrane przeze mnie dla kota. Czysty przypadek. Z początku zdawało mi się, że Vanda także nie przywiązuje wagi do tej sprawy. Mówiła do mnie bez zwykłej ironii, głosem, który był tylko narzędziem do łączenia ze sobą słów, całkiem obojętnym na ich sens.

– Słownik – wycedziła, znów spoglądając gdzieś poza balustradę balkonu – otworzyłeś mi na literze *L*, a słowo *labes* podkreśliłeś

długopisem, wszystkie jego znaczenia także. „Upadek, zagłada, zguba, skaza, hańba”. Taki twój zwykły żarcik. Wołałam czule kota, a ciebie bawiło to, że nie mam pojęcia, co znaczy jego imię, które niesie wszędzie swoje złowieszcze znaczenia: katastrofa, nieszczęście, skaza, niesława, hańba. To „hańba” kazałeś mi wykrzykiwać. Zawsze taki byłeś. Pokazujesz się jako człowiek wrażliwy, a tymczasem w inny sposób wyładowujesz swoje złe uczucia. Już nie pamiętam, kiedy zrozumiałam, jaki jesteś. Na pewno wcześniej, wiele lat temu, może nawet zanim wzięliśmy ślub. Ale mimo to związałam się z tobą. Byłam młoda, czułam się atrakcyjna, nie wiedziałam, jak bardzo przypadkowa jest ta atrakcyjność. Przez całe lata nie czułam się szczęśliwa, ale też nie czułam się nieszczęśliwa. Późno zrozumiałam, że inni interesują mnie mniej więcej tak samo jak ty. Rozglądałam się wokół siebie zagubiona. Za każdym razem – mówiłam sobie – mogłoby się to zmienić w miłość: to jest jak deszcz, kropla spada przypadkiem na inną kroplę i wkrótce zmienia się to w strumień. Wystarczyłoby nie wyrzekać się takiego pierwszego impulsu, a on mógłby zmienić się w pociąg, potem ten pociąg doprowadziłby do seksu, seks powtarzany zmieniłby się w stałą potrzebę i jakieś przyzwyczajenie. Ale myślałam, że muszę zawsze kochać tylko ciebie, a wobec tego odwracałam się w inną stronę, spełniałam też kaprysy dzieci. Jakież to głupie. Zakładając, że kiedykolwiek cię kochałam, a dzisiaj już nie jestem tego pewna (miłość jest jak pojemnik, do którego wrzucamy wszystko), trwało to niedługo. Z całą pewnością nie byłeś dla mnie kimś jedynym, kimś nadzwyczajnym. Dałeś mi tylko szansę, bym mogła się uznać za kobietę dojrzałą, która ma męża, dzieli z nim łóżko, ma dzieci. Kiedy mnie zostawiłeś, cierpiałam przede wszystkim dlatego, że niepotrzebnie poświęciłam się tobie. A kiedy przyjechałam cię z powrotem do domu, chciałam tylko, byś mi zwrócił to, co mi zabrałeś. Ale szybko zrozumiałam, że w tej gmatwaninie emocji i pragnień, i seksu, i uczuć, trudno ustalić, co masz mi oddać, i dlatego robiłam, co mogłam, żebyś wrócił do Lidii. Nigdy nie uwierzyłam, że się opamiętałeś, że już chcesz być tylko ze mną, a nie z żadną inną. Myślałam każdego dnia, jak bardzo mnie

oszukiwał. Nic, ale to nic do mnie nie czuł, nawet jakiejś bliskości, sympatii, która nie pozwala człowiekowi stać z założonymi rękami, kiedy ktoś drugi obok niego jest śmiertelnie zraniony. Nie mogłem ukryć tego, że kochasz Lidie, jak nigdy nie kochałem mnie, a już dobrze wiedziałam, że kiedy mężczyzna kocha inną, nigdy nie wraca do żony z miłości. Dlatego powiedziałam sobie: zobaczymy, jak długo wytrzyma, zanim z powrotem do niej ucieknie. Ale im mocniej ci dokuczałem, tym bardziej byłeś uległy. To *labes*, tak, masz rację. Na tej grze minęły nam lata, dziesiątki lat, i już do niej przywykliśmy: przeżywać razem katastrofę, cieszyć się hańbą, to nas ze sobą sklejało. Dlaczego? Może przez dzieci. Ale dzisiaj już nie jestem tego pewna, zobojętniałam nawet na nie. Teraz, kiedy zbliżam się do osiemdziesiątki, mogę powiedzieć, że nic z mego życia mi się nie podoba. Nie podobasz mi się ty, nie podobają mi się dzieci, nie podobam się sobie ja sama. Może dlatego, kiedy odszedłeś ode mnie, tak bardzo się tym przejęłam. Poczulałam się głupia, że nie umiałam odejść od ciebie wcześniej niż ty ode mnie. I bardzo chciałam, żebyś wrócił, bo wtedy mogłabym ci powiedzieć: Teraz to ja odejdę. A jednak, tylko pomyśl, nadal tu jestem. Kiedy wreszcie dojdiesz do tego, żeby coś sobie jasno powiedzieć, od razu spostrzeżasz, że jest to jasne, bo to uprościłeś.

Tyle, z grubsza biorąc, mi powiedziała, streściłem to własnymi słowami. Po raz pierwszy od kiedy się pogodziliśmy, starała się wyrażać dobitnie, ale nie okazywała przy tym żadnego zaangażowania. Czasami jej przerywałem, zawsze łagodnie, zdawkowo czemuś zaprzeczałem, ale nie słuchała moich słów albo nie chciała ich słyszeć. Kontynuowała, jakby mówiła tylko do siebie, i po jakimś czasie ja także przestałem się w to wciągać. Przychodziło mi do głowy tylko jedno pytanie: dlaczego postanowiła mówić do mnie tak twardo, czy nie brała pod uwagę, że niejedno z tych jej słów może mieć poważne konsekwencje dla naszego życia w starości? Odpowiedziałam sobie: Aldo, nie wpadaj w panikę, ona jest inna niż ty, nie ma w niej takich lęków, jakie są w tobie od dzieciństwa, to dlatego potrafi przebierać miarę, a co więcej, skoro z latami stawała się coraz bardziej na wszystko obojętna, będzie ją

coraz bardziej ciągnąć do przebierania miary, będzie wiele razy powtarzać tę swoją bezlitosną gadaninę. Dlatego przemilcz. Zniszczyli jej mieszkanie, jest zmęczona, upokarza ją ta krzątanka, którą musi się zajmować, w tym momencie wystarczy jakaś drobna nieostrożność, żeby porzuciła wszystko w takim stanie, w jakim jest, i poszła sobie z domu. A zatem, jeśli chcesz jej coś powiedzieć, to jej zaproponuj, że wezwiesz kogoś, kto pomoże nam w tej pracy, przekonaj ją, że to niewielki wydatek, przypomnij, że jest już słaba i nie wolno jej się męczyć, słowem, wykręć się, udaj, że nic się nie stało, uchronź te dni, miesiące, lata, jakie ci jeszcze zostały.

5.

Nie wiem, jak długo Vanda mówiła – minutę, dwie, pięć minut. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili, widząc, że nie reaguję, popatrzyła na zegarek i wstała.

– Idę coś kupić – powiedziała. – Słuchaj, czy nie dzwoni telefon albo domofon.

Odpowiedziałem jej z ochotą:

– Idź, możesz być spokojna. Jeżeli złodzieje się odezwą, rozmówię się z nimi i odzyskamy Labesa.

Nie odezwała się. Ale kiedy już była gotowa do wyjścia, z wózekiem na zakupy w ręku, wyszeptwała:

– Straciliśmy naszego kota.

Chciała przez to powiedzieć, jak myślę, że straciliśmy nadzieję. Kiedy przechodziła przez salon, przedpokój i otwierała drzwi wejściowe, dodała, że muszę uważać, czy nie dzwoni telefon lub domofon, nie tylko dlatego, że mogą się odezwać złodzieje, ale też dlatego, że minęły właśnie dwa tygodnie, od kiedy firma wypożyczyła nam lampę na podczerwień i że może przysłać dzisiaj kogoś po odbiór.

– Nie daj sobie znowu ukraść pieniędzy – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

O ile ona już przestała wierzyć w ewentualne żądanie okupu, o tyle ja, przekonawszy się o zniknięciu zdjęć, wierzyłem w taką możliwość bardziej niż przedtem. Mało tego: zadawałem sobie

pytanie, kto przyjdzie po soluks, czy jakiś posłaniec, czy znowu ta dziewczyna z bystrymi oczami? Po chwili już nie miałem wątpliwości, że pojawi się właśnie ona. Minęło trochę czasu, Vanda wróciła, zabrała się do gotowania. Już nie byłem spokojny, czułem jakieś podniecenie, rozboleła mnie głowa. Widziałem w myślach tamtą dziewczynę w drzwiach, to ona miała mi powiedzieć: Mamy Labesa, mamy fotografie, suma, którą trzeba zapłacić, wynosi tyle a tyle. Wtedy spytałbym: A w przeciwnym razie? W przeciwnym razie, miała mi odpowiedzieć dziewczyna – czy raczej odpowiadała mi, ciągle mi odpowiadała i odpowiadała – w przeciwnym razie kota zabijemy, a zdjęcia prześlemy, komu trzeba. Odnosiłem wrażenie, jedząc kęs sera stracchino, że serce nie mieści mi się w piersi.

Po obiedzie Vanda, może dlatego że dzięki swoim wyznaniom trochę sobie ulżyła, znowu była taka jak zawsze. Metodycznie, ani przez chwilę nie odpoczywając, uporządkowała kuchnię, sypialnię, pokój Anny, potem pokój Sandra, a na koniec zrobiła spis wszystkiego, co jeszcze musimy zrobić. Gdy umawiała się telefonicznie ze znajomym stolarzem i sprzeczali się o cenę, usłyszałem, że dzwoni domofon. Podszedłem do drzwi, podniosłem słuchawkę. W domofonie odezwała się kobieta, powiedziała, że przyszła po odbiór lampy na podczerwień. Czy to był głos tamtej dziewczyny sprzed dwóch tygodni? Nie umiałem rozpoznać, rzuciła tylko parę słów. Otworzyłem i podbiegłem do okna wychodzącego na ulicę, wychyliłem się. Tak, to była ona. Przytrzymała ręką otwarte skrzydło drzwi wejściowych i coś mówiła do mężczyzny, którego widziałem od tyłu, częściowo zasłoniętego gałęziami magnolii. Miałem przyspieszony oddech, jak zawsze, kiedy jestem podniecony. Z okna nie mogłem stwierdzić, czy to ten oszust od marynarek ze sztucznej skóry, ale krew się we mnie burzyła, odbierała jasność myślenia, chciałem, żeby to był on, a jednocześnie obawiałem się tego. O czym rozmawiali? Jaką obrali strategię? Dziewczyna miała przyjść na górę, a mężczyzna miał czekać na nią przy bramie? Nie, chyba zdecydowali się wejść na górę razem. Każda opowieść jest jak ślepy zaułek, w każdej zawsze przychodzi

taka chwila jak ta teraz. Co wobec tego trzeba zrobić, cofnąć się, zacząć od nowa? Nawet jeśli już doczekało się starości i wie się dobrze, że każda opowieść musi wcześniej czy później znaleźć dla siebie jakieś ostatnie słowo? Wyraźnie wyczułem w sobie taki sam lęk jak wtedy, kiedy ojciec znowu decydował się wrócić do domu na kolację. Już od dawna siedzieliśmy przy stole, już z korytarza dochodziły mnie jego ociężałe kroki. W jakim jest humorze, w dobrym, w złym? Co powie, co zrobi? Vanda – która właśnie skończyła rozmawiać przez telefon, a nie słyszała domofonu – zawołała do mnie z sypialni:

– Możesz tu przyjść na chwilę? Pomożesz mi przesunąć szafę.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

1.

Matka zostawiła nas kilka metrów od baru. Ile miałam lat? Dziewięć? Sandro skończył trzynaście kilka tygodni wcześniej, dobrze to pamiętam, bo razem z mamą upiekliśmy mu tort, a on, już przy zapalonych świeczkach, powiedział, że jeśli je zdmuchnie za jednym razem, to chciałby, żeby się spełniło jego ważne pragnienie. Matka spytała jakie. Spotkanie z ojcem, odpowiedział. I to dlatego, z jego winy, znaleźliśmy się pod barem. Stoimy tam, a ja się boję. O ojcu nic nie wiem, kiedyś go kochałam, ale już od dłuższego czasu nie kocham. Na myśl, że mam się z nim spotkać, rozboleł mnie brzuch, ale nie chcę mu powiedzieć, że muszę pójść do toalety, wstydzę się tego. Dlatego jestem bardzo zła i na brata, który nam dyktuje, co mamy robić, i na matkę, która w końcu zawsze godzi się na to, czego chce brat.

2.

To wszystko – nie pamiętam nic więcej. Ale prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi, to tylko pretekst, żeby odezwać się do Sandra. Telefonuję do niego, nie odbiera i nie odbiera, potem włącza się poczta głosowa. Odczekuję dwie minuty i dzwonię znowu. Próbuje się z nim połączyć może z pięć razy i wreszcie odpowiada mi poirytowanym głosem: „Czego chcesz?”. Pytam bez wstępnych wyjaśnień: „Pamiętasz, jak poszliśmy spotkać się z ojcem w tym barze na piazza Carlo III?”. Mówię po dziecinnemu, przymilnym głosem, szczebiocząc i parszając śmiechem, jakby nigdy nic między nami się nie wydarzyło, jakbym nie próbowała na wszelkie sposoby wyrwać mu trochę pieniędzy ciotki Gianni, jakbym nie wykrzykiwała, że jeżeli naprawdę nie chce mi dać ani centa, to nie ma go dla mnie na świecie, umarł, trafiony-zatopiony, nie chcę go znać.

Milczy. A ja sobie myślę, że skończył czterdzieści pięć lat, a zachowuje się jak gówniarz, jakby nie miał nawet piętnastu. Wyczuwam wszystkie jego myśli, wyczuwam w nich nawet średniki, i wiem, że mnie nienawidzi. To nieważne – plotę o tacie i mamie, o naszym dzieciństwie, o spotkaniu wiele lat temu z naszym ojcem, o moich dziurach w pamięci, które nagle przysłała mi ochota wypełnić. Próbuje mi przerwać, ale ze mną to nikomu się nie udaje, nikomu na to nie pozwalam. I mówię wprost:

- Spotkajmy się.
- Nie mam czasu.
- Proszę cię.
- Nie.
- Wieczorem?
- Wiesz, że wieczorem masz coś do zrobienia.
- Co mam do zrobienia?
- Twoja kolej, żeby nakarmić kota.
- Nie pójdę, nigdy nie chodziłam.
- Chyba żartujesz?
- Nie, nie chodziłam.
- Obiecałaś mamie.
- Obiecałam, ale w tym domu nie chcę być sama, nie czuję się na siłach.

Jakiś czas gadamy w tym stylu, on raz mnie atakuje, raz ustępuje. Rozumie, że nic nie zmyślam: przez cały ten tydzień, gdy rodzice byli nad morzem, nigdy tam nie chodziłam, kiedy wypadała moja kolej.

– To dlatego – mówi – w domu zawsze śmierdziało kotem, pojemnik na wodę był pusty, w miseczce nie widziałem nawet okruchów jedzenia, a Labes kręcił się nerwowo.

Sandro wścieka się na mnie, warczy, że jestem egoistką, nieczułą i nieodpowiedzialną. Ale nic sobie z tego nie robię, dalej do niego szczebioczę, chichoczę, zmyślam, co mnie niepokoi, ironizuję. A on powoli się uspokaja.

– Dobra – mówi tonem starszego brata, który ma mnie rozjechać i zmiażdżyć – jedź sobie na tę Kretę z pierwszym lepszym. Sam

zajmę się Labesem, pojedę tam wieczorem, przestań już o tym pieprzyć.

Zapada milczenie. Zmieniam tonację, wiem kiedy przychodzi czas na zmianę, więc przybieram ton patetyczny, taki sam jak ton naszej matki.

– Powiedziałam o Krecie i o nowym chłopaku tylko po to, żeby nie martwić rodziców, a tak naprawdę to w tym roku nie będę miała żadnych wakacji, jestem bez grosza i mam wszystkich dość.

To skutkuje, wiem, z jakim typem mam do czynienia. Przyparty do muru mówi:

– Dobrze, pójdziemy razem do Labesa.

3.

Spotkaliśmy się pod bramą domu rodziców. Nienawidzę tej okolicy piazza Mazzini, także ich ulicy, śmierdzącej smogiem i wyziewami rzeki. Labes miauczy bez przerwy, słyhać go już na schodach. Idziemy na górę.

– Ależ tu wstrętnie – mówię już w przedpokoju i biegnę pootwierać drzwi balkonowe i okna.

Potem wdaję się w rozmowę z kotem, klaruję mu, jaki jest nieznośny, i to go ucisza, ociera się o moje nogi. Ale kiedy słyszy, że Sandro przygotowuje mu jedzenie, porzuca mnie i biegnie do niego. Zatrzymuję się w salonie. To mieszkanie mnie przygnębia, mieszkałam tutaj od szesnastego do trzydziestego czwartego roku życia. Tu jest tak, jakby rodzice przenieśli razem ze swoimi gratami wszystko co najgorsze z tych mieszkań, w których mieszkaliśmy wcześniej.

Przychodzi Sandro, z kuchni słyszę, jak Labes pochłania jedzenie. Mój brat jest nerwowy, zrobił, co do niego należało, i chce jak najszybciej wyjść. Ale ja rozsiadam się na kanapie i zaczynam go zatruwać naszym dzieciństwem: ojciec zostawia nas samych, matka wpada w rozpacz, pewnego dnia spotykamy się z ojcem w barze. Sandro stoi i tłumaczy mi, że się spieszy. Sypie jakimiś banałami, bo mu się wydaje, że ma obowiązek mówić o rodzicach czule, z szacunkiem i wdzięcznością, i złości się, że o tamtym spotkaniu

z ojcem mówię z sarkazmem.

– Bzdury! – krzyczy. – To ojciec chciał się z nami spotkać, ja nie mam z tym nic wspólnego. A poza tym nie spotkaliśmy się w barze i nie przy piazza Carlo III. Mama zaprowadziła nas na piazza Dante, a ojciec już tam był, czekał na nas pod pomnikiem.

– Ja zapamiętałam bar i piazza Carlo III. Ojciec też kiedyś powiedział, że to było w barze.

– Albo mi wierzysz, albo nie warto o tym mówić. Wziął nas do restauracji przy piazza Dante.

– I co tam robiliśmy?

– Nic, ciągle tylko mówił.

– A co powiedział?

– Coś takiego, że pracuje w telewizji, spotyka się ze znanymi aktorami i piosenkarzami i że dobrze się stało, że rzucił mamę.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Miał rację. Ja też myślę, że dobrze zrobił.

– Tak mówisz teraz, ale wtedy nie spałaś po nocach i zwracałaś wszystko, co zjadłaś. Bardziej ty zatruwałaś nam życie, mamie i mnie, niż ojciec.

– Zmyśliłeś to, mnie ojciec nic a nic nie obchodził.

Potrząsa głową, połknął haczyk, decyduje się usiąść.

– Pamiętasz chociaż, jak spytałaś go o sznurówki?

Sznurówki? Z moim bratem jest tak, że lubi się ucześcić jakiegoś szczegółu i od niego zaczyna swoje sławetne dywagacje. Za to bardzo kochają go kobiety, bo najpierw je rozbawia, a potem zmienia wszystko w melodramat. Moim zdaniem zamiast studiować geologię, powinien pójść w ślady ojca, pracować w telewizji, gdzie mógłby prowadzić jakiś program, mówić z ekranu do pań i dziewczynek. Patrząc na niego, udając, że interesuje mnie to, co zamierza mi opowiedzieć. Sandro jest przystojny, ma maniery dżentelmena, sypie komplementami. Jest szczupły, udało mu się, ma gładką twarz chłopca, dobija do pięćdziesiątki, a nikt nie dałby mu więcej niż trzydzieści. Opiekuje się trzema żonami. Tak, żonami, chociaż wziął ślub tylko z jedną. I ma czworo dzieci, a to w dzisiejszych czasach rekord: dwójkę z pierwszą żoną, tą legalną,

i po jednym z dwiema innymi. Prócz nich ma też przyjaciółki w różnym wieku, które ciągle odwiedza i których nie tylko cierpliwie wysłuchuje, ale także, jeśli trzeba, nie skąpi im seksu. Radzi sobie – w tym rzecz. Nie ma grosza, roztrwonił spadek po ciotce Giannie, rozdając pieniądze kobietom i ich dzieciom, ciągle traci pracę, ledwo ją znajdzie, a mimo to wie mu się nieźle i nie musi zaciskać pasa jak ja. Dlaczego? Dlatego że matki jego dzieci są zamożne i nawet kiedy już są z innymi mężczyznami, dalej uważają go za kochanego chłopaka, wspaniałego ojca, tak że może liczyć na ich zasoby. Trzeba go widzieć, kiedy bawi się z dziećmi, bo dzieci go uwielbiają. Oczywiście wpada też czasami w kłopoty, bo nawet jemu trudno dopilnować tej skomplikowanej sieci więzi uczuciowych, czasem jego panie rozpętują krwawe wojny między sobą, bo każda chciałaby go mieć na wyłączność. Ale jak dotąd zgrabnie się z tych komplikacji wywija, a ja dobrze wiem dlaczego. Mój brat tylko udaje mężczyznę. Udaje nawet przed samym sobą. Swojej umiejętności nadskakiwania im z wdziękiem i pocieszania ich – nieraz łącznie z prawieniem morałów, które w jego ustach brzmią naprawdę obłudnie – zawdzięcza możliwość obdzielania wszystkich co piękniejszymi uczuciami, chociaż ich w sobie nie ma.

– Jakie sznurówki? – pytam.

– Sznurówki do butów. Kiedy jedliśmy obiad, spytałaś go, czy tego mojego sposobu zawiązywania butów nauczyłem się od niego.

– Przepraszam, a jak ty wiążesz buty?

– Tak jak on.

– A jak on wiąże?

– Tak jak nikt.

– I on wiedział, że ty wiążesz buty jak on?

– Nie wiedział, ty mu to powiedziałaś.

Ja o tym naprawdę całkiem zapomniałam. Spytałam:

– I co on na to?

– Wzruszył się.

– Jak to wyglądało?

– Zalał się łzami.

– Przesadzasz, nigdy nie widziałam go płaczącego.

– A jednak tak było.

Labes ostrożnie wysuwa głowę z kuchni. Zastanawiam się, czy podejdzie do mnie, czy do Sandra. Chciałabym, żeby podszedł do mnie, ale tylko po to, żebym go mogła odpędzić. Kot wskakuje na kolana mojemu bratu. Mówię z urazą w głosie:

– Jestem pewna, że to ty chciałeś się z nim spotkać.

– Myśl sobie, co chcesz.

– Ale dlaczego mama się na to zgodziła? Wtedy już przestała szaleć, my przywykliśmy, że jego nie ma, lepiej by zrobiła, odmawiając. Jak mogło jej przyjść do głowy, żeby znowu przewracać wszystko do góry nogami?

– Daj spokój.

– Nie, chcę wiedzieć, jak to było.

– To ja ją o to męczyłem.

– Widzisz, to jednak twoja sprawa.

– Męczyłem o to mamę, bo ty źle to znosiłaś.

– Jaki byłeś wspaniałomyślny!

– Byłem chłopaczkiem. Myślałem, że kiedy ojciec osobiście zobaczy, do czego cię doprowadził, zrozumie, że go potrzebujesz, i wróci do nas.

– To znaczy, że twoim zdaniem tato mógł z mojego powodu oprzytomnieć?

– Nie łudź się.

– Czyli?

– Jak to możliwe, że nic nie pamiętasz?

– Nie pamiętam.

– Dobrze, to jeszcze coś ci powiem. Rano, tego dnia, kiedy mieliśmy się z nim spotkać, mama spytała cię, czy zauważyłaś, w jaki śmieszny sposób wiąże buty. „To przez ojca, on nigdy nic nie robił normalnie. Powiedz mu o tym, kiedy się zobaczycie”.

– I co?

– To, że ta historyjka ze sznurówkami zaczęła nas wszystkich łączyć. Tato wrócił do mamy dzięki mnie, dzięki tobie. Bo my troje chcieliśmy, żeby wrócił. Rozumiesz?

4.

Taki jest Sandro, umie wszystko osłodzić i wygładzić, a to poprawia humor. Warto popatrzeć, jak głaszcze Labesa. Burzy mu sierść, ugniata go, a kot jest zachwycony. Tak robi ze wszystkimi – ze zwierzętami i z ludźmi. Jest ulubieńcem mamy, a ojciec o sprawach poważnych rozmawia tylko z nim. I w taki sposób zagarnia wszystko dla siebie – uczucia, szacunek, pieniądze – a dla mnie zostają tylko okruchy. Co za fałszywy człowiek! I jaka fałszywa, fałszywa, fałszywa ta cała jego opowieść o sznurówkach! Niby to on wymusił na naszej matce, żeby nas posłała do ojca, i to tylko dlatego, że mnie było źle. A potem my oboje aż tak wzruszyliśmy ojca, że wrócił pędem do domu? I matka też się do tego przyczyniła? I tak to zjednoczyła się nasza rodzinka? Za kogo on mnie bierze, za jedną ze swoich wielbicielek? Mówię:

– Jedyne sznurówki, które się liczyły dla naszych rodziców, to te, którymi nawzajem się pętali i zamęczali całe życie.

Wreszcie wstaje, zabieram mu z kolan Labesa, niosę go na balkon, cały czas go głaszcząc. Kot najpierw mi się wyrywa, potem się uspokaja. Już z balkonu mówię do Sandra:

– Rodzice podsunęli nam cztery kolejne scenariusze, bardzo pouczające. Pierwszy: mama i tato młodzi i szczęśliwi, dzieci rozkoszują się rajskim ogrodem; drugi: tato znajduje sobie inną kobietę, mama odchodzi od zmysłów, dzieci tracą rajski ogród; trzeci: ojciec opamiętuje się i wraca do domu, dzieci próbują dostać się do ogrodu ziemskiego, mama i tata codziennie im dowodzą, że to daremny wysiłek; czwarty: dzieci odkrywają, że żaden ogród nigdy nie istniał i w życiu trzeba zadowolić się piekłem.

– Jesteś gorsza niż matka. – Sandro krzywi się niezadowolony.

– Mama już ci się nie podoba?

– Ty mi się nie podobasz. Po niej masz jej wady, ale sama jeszcze je pogłębiłaś.

– Które wady?

– Wszystkie.

– Na przykład?

– Mogę ci je wyliczyć: pierwszą, drugą, trzecią, czwartą. Obie

budujecie jakieś kraty i zapędzacie za nie innych.

Mówię mu oschle, że ograniczyłam się tylko do tego obrazka, na którym jesteśmy oboje razem.

– A ty od razu – wyrzucam mu – musisz mnie obrażać, i to nie mając racji. Jeśli jestem gorsza od mamy, ty jesteś gorszy od taty, nie umiesz wysłuchać drugiego człowieka, odziedziczyłeś wszystko co najgorsze po nich obojgu, bo nie tylko nie słuchasz, ale tak jak mama czepiasz się jakiegoś szczegółiku, drobniutkiego, marniutkiego, i na nim budujesz całą górę bredni.

Sandro przygląda mi się z zaciśniętymi ustami, kiwa głową i w końcu patrzy na zegarek. Z jednej strony boi się, że był zanadto obcesowy, z drugiej myśli, że ze mną to i tak przegrana sprawa, do zgody między nami nie może dojść, bo ja umiem się tylko kłócić. Wracam do salonu i zanim on wstanie, żeby wyjść, rozsiadam się na kanapie. Labes znowu przymila się do mnie, całuję go w głowę, a on się uspokaja. Czas najwyższy wyjaśnić bratu prawdziwy powód, dla którego do niego zadzwoniłam. Wypowiadam jakieś banały, na przykład: nic na to nie poradzimy, przed chromosomami nikt nie uciekł, to nie jest moja wina ani twoja, dziedziczy się wszystko, nawet sposób, w jaki ktoś drapie się po głowie. I śmieję się z tego, jakbym powiedziała coś naprawdę dowcipnego. A potem, ciągle się śmiejąc, oświadczam mu bez żadnych wstępów, że już od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie pewien pomysł. Zaproponujmy mamie i tacie, żeby sprzedali to mieszkanie. Jest warte co najmniej półtora miliona, podzielimy się tą sumą równo po połowie, dostaniemy po siedemset pięćdziesiąt tysięcy na głowę.

5.

Sandro niespodziewanie patrzy na mnie uważnie. W tej jednej sprawie nic nas nie różni – to po matce dziedziczymy zachłanność na pieniądze. Tato zarabiał bardzo dobrze, ale był tak zajęty swoimi ambicjami, że nawet tego nie zauważał. Dla niego liczyła się tylko praca, potrzeba akceptacji, lęk, że mu jej poskąpią. A o pieniądze dbała zawsze tylko mama. Oszczędzała je, gromadziła, to ona chciała mieć to mieszkanie. Nauczyła nas, że każdy grosz to rzecz

bezcenna, nawet miłość do dzieci przybrała w jej wydaniu formę pieniędzy. Nigdy ich nie oszczędzała dla siebie, a tym bardziej nie dla ojca, ale po to, żeby nam obojgu było na co dzień dobrze i żebyśmy mieli spokojną przyszłość. Książeczka oszczędnościowa na pocztę, konto w banku, a to mieszkanie było jak zapewnienie, że nas kocha. Przez dłuższy czas w to wierzyłam, może wierzył w to także Sandro. Dowodem na to, że was kocham – powtarzała nam co dzień matka – jest to, że nie wydaję nic na siebie, tylko wszystko gromadzę dla was. Poskutkowało to tak, że jeśli chodzi o mnie, to brak pieniędzy odbiera mi zdolność kierowania się uczuciami. Chyba dlatego tak się przejęłam tym, że ciotka Gianna zostawiła prawie cały majątek Sandrowi. Tak przynajmniej tłumaczyli mi lekarze, kiedy z powodu całej tej spadkowej historii puściły mi nerwy i musieli mnie karmić pigułkami. Ale bardzo trudno o spokój, kiedy ciągle coś się nie zgadza. Może nawet prawdziwe jest to przełożenie: nie ma pieniędzy, nie ma uczuć, ale dlaczego ledwo wpadnie mi parę groszy, zaraz je przepuszczam, ledwo ktoś okaże mi trochę uczucia, zaraz go odtrącam? Czy zresztą z Sandrem nie dzieje się tak samo? Te wszystkie zamożne kobiety, te wszystkie rozpaskudzone dzieci, czyż nie są oznaką jakiejś pustki, której nie potrafi wypełnić? Dla matki całą przyjemnością – może jedyną przyjemnością – było oszczędzanie pieniędzy, a nam się wydaje, że dopiero wtedy dobrze nam na świecie, kiedy wydajemy pieniądze na prawo i lewo. Mój brat i ja jesteśmy w tym tacy sami. I to w sytuacji, kiedy ciągle brak nam forsy. I kiedy zbliża się starość. Jestem gruba, mam coraz więcej zmarszczek, włosy mi siwieją. Jakże drażni mnie u Sandra ta jego młodzieńcza uroda – długie rzęsy, zielone oczy, pod pięćdziesiątkę gęste włosy i to kruczoczarne, bez farbowania, wysportowane ciało, chociaż nie uprawia żadnego sportu. Teraz wreszcie mnie słucha, ale odchodzę od tematu, daję mu czas, by się z nim oswoił. Mówię, że oni są z tego szczęśliwego pokolenia, które mogło, wychodząc z biedy, dojść do zamożności, tato zdobył nawet trochę uznania, oboje mają niezłe emerytury, czego im trzeba więcej, do cholery, nie mam racji?

Nagle brat mruga powiekami, jakby chciał się pozbyć tego

obrazka, który mu rysuję, i zadaje pytanie:

– Dlaczego mieliby sprzedawać mieszkanie i rozdzielić pieniądze między nas?

– Mieszkanie jest nasze.

– Mieszkanie jest ich.

– Oczywiście, ale dziedziczymy je my.

– No i co z tego?

– To z tego, że ich poprosimy, żeby nam wypłacili spadek wcześniej.

– A sami gdzie się podzieją?

– Wynajmiemy im małe mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią w jakiejś tańszej dzielnicy, i będziemy płacić czynsz.

– Zwariowałaś.

– Dlaczego? Pamiętasz Marisę?

– Kto to taki?

– Moja przyjaciółka z Neapolu.

– No i co?

– Poprosiła rodziców o coś takiego i oni się zgodzili.

– Mama nigdy się nie zgodzi. To jej mieszkanie, dba w nim o każdy kąt. A dla taty to znak, że po jego pracy coś zostało.

– Ale życie mają już za sobą.

– Nie wydaje mi się. Mogą jeszcze ciągnąć przez dwadzieścia lat.

– Otóż to. A za dwadzieścia lat ja będę miała sześćdziesiąt pięć, a ty siedemdziesiąt, o ile dożyjemy. Po co mi to mieszkanie, kiedy będę miała sześćdziesiąt pięć lat? Zastanów się, nie zwalaj na mnie winy jak zwykle i nie miej mnie za podłą. To są dwie starsze osoby, jaki to ma sens, że mieszkają w zamku z widokiem na Tyber?

Potrzęsa głową, patrzy na mnie ze zrozumiałą dezaprobatą. Chce przypisać mi to, co najgorsze, tak było zawsze, od dzieciństwa. Pieniądze rzecz jasna go pociągają, ma to wypisane na twarzy. Ale dobrze go znam, wyczuwam, jak cały się skręca w środku. Idealne dla niego byłoby takie rozwiązanie, że wszystko załatwię sama – porozmawiam z rodzicami, przekonam ich, sprzedam, podzielę pieniądze między nas, naturalnie po połowie – a jemu zostawię rolę zakłopotanego syna, który ma opory moralne, martwi się o mamę

i tatę. Jakaś część mnie wie, że jeśli chcę uzyskać jego zgodę, nie mogę go atakować, muszę znieść cierpliwie jego grymasy, trzymając nerwy na wodzy. Ale inna część mnie się burzy. Bądź co bądź i ja mam jakieś skrupuły, nie jestem z kamienia. Dlatego jeśli zaczną mnie atakować, nie wiem, jak to się skończy. Ale on nie tylko mnie atakuje, on mnie rani.

– Jak byś się zachowała – pyta – gdyby za trzydzieści lat twoje dzieci to samo zrobiły tobie?

6.

Odpowiadam mu porywczo. Od naszych rodziców nauczyłam się tylko jednego: że nie trzeba mieć dzieci. Potem, udając spokój, zduszonym głosem uzasadniam to. Mając dzieci, na pewno będziesz je krzywdzić, a potem one z całą pewnością zaczną krzywdzić ciebie jeszcze bardziej. Wiem, że Sandro nie lubi tak skrajnych opinii, ale kiedy muszę, to się do nich uciekam. Sam beztrąsko spłodził czwórkę dzieci, ciekawe, co mi teraz odpowie.

W odpowiedzi Sandro jak zwykle się chwali. Jest oczywiście pewien, że obrał słuszną drogę: kilka matek, wielokrotne ojcostwo, wiele ośrodków uczuć i seksu. I wiele ról. Słowem, koniec starej koncepcji małżeństwa – nie ma mowy o monogamii, różne kobiety, wszystkie kochane, różne dzieci, wszystkie uwielbiane.

– Kiedy ja jestem z dziećmi – mówi to zwykłym dla siebie tonem przesłodzonej dobrotliwości – niczego im nie brakuje, jestem dla nich ojcem i matką.

Staram się nie odgryzać, daję mu czas, żeby się puszył swoim szerszym widzeniem rzeczy. Ale braciszek mnie irytuje, chociaż robię, co mogę, żeby nie wdać się w sprzeczkę. Dlatego w pewnej chwili rzucam, że nigdy nie wydostał się z tego zamętu, w jakim wyrastaliśmy, i że obdziela swoje dzieci tymi samymi lękami, jakie emanowały z naszej matki: mężczyzna staje się kobietą, kobieta staje się mężczyzną, ojciec staje się matką, matka staje się ojcem, domowe przebieranki, zabawy słowne – jesteś wystraszonego chłopaczkiem, naprawdę. Kiedy to mówię, wzbiera we mnie złość, która zazwyczaj czai się gdzieś głęboko. Syczę, że chciałabym

zniesienia macierzyństwa, zniesienia ciąży i porodu, zniesienia, tak, znie-się-nia. Chciałabym, żeby całkiem zapomniano o rozmnażaniu za pośrednictwem kobiecego brzucha, narządy rodne powinny służyć tylko do sikania i pieprzenia.

– Powiem ci więcej! – wykrzykuję. – Może nawet wcale nie warto się pieprzyć.

I zaczynamy się kłócić – wystraszyliśmy Labesa, ucieka – wpadamy sobie w słowo, przy każdym zdaniu, przy każdej odzywce. Ileż frazesów Sandro zdolny jest z siebie wyrzucić, żeby tylko się wybronić: przytulanie się w nocy do kochanej osoby łagodzi niepokój, lepiej jest kochać, niż wierzyć w Boga, to jak gdyby modlitwa przeciw groźbie śmierci, rodzenie dzieci ucisza niepokój, jakież słodkie są zabawy z nimi, ile radości budzi w człowieku ich dorastanie, pojmujesz, że jesteś ogniwem nieskończonego łańcucha, masz poprzedników i masz następców, to jedyna możliwa dla nas forma nieśmiertelności, i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Słucham go, jak wygłasza to swoje natchnione kazanie, ale wiem, że przytacza takie argumenty, żeby mnie dotknąć. Chce, żebym mu zazdrościła tego zachwytu nad swoim potomstwem. Chce, żebym miała sobie za złe, że wyrzekłam się dzieci, chce, żebym się tym dręczyła.

– Ty nie masz dzieci – mówi – i nic z tego nie możesz zrozumieć, dlatego pleciesz trzy po trzy.

– To prawda, nie mogę tego zrozumieć – odpowiadam mu, bo już ostatecznie tracę cierpliwość – nie mogę zrozumieć twojego płodzenia na oślep, nie mogę zrozumieć tych wszystkich klaczy, które trzęsą się w rui i z lękiem nasłuchują tykania biologicznego zegara. Nie do pomyślenia, żebym się wzięła do wydawania na świat bobasków, wrzeszcząc z bólu, żebym dała się ciąć pod narkozą, żeby potem budzić się z obrzydzeniem do siebie, ogłuszona, załamana przemocą tych stworzeń. No tak, można żyć dla nich. Wyprodukowałaś je – kopiuj-wklej – i teraz musisz o nie dbać, cokolwiek by się działo. Proponują ci dobrą pracę za granicą albo chcesz pracować dzień i noc nad czymś, na czym ci zależy, albo chcesz mieć cały swój czas do dyspozycji, by spędzać go z drugim

człowiekiem, a tu nie: masz dzieci i nic z tego, bo one cię potrzebują, jak małe podrażnione węże, które owijają się ciasno wokół ciebie, zaciekle i bezwiednie. Cokolwiek byś zrobił, żeby je zadowolić, i tak będzie im mało. Chcą cię mieć dla siebie i zrobią wszystko, żeby ci stanąć na drodze i zmusić, byś zrezygnował ze swoich potrzeb. Nie tylko nie jesteś dla siebie – jakież to gówniany stary slogan – ale nie możesz nawet starać się bez reszty należeć do kogoś innego, bo tak naprawdę należysz już wyłącznie do nich. To jest tak – krzyczałam – że kiedy płodzisz dzieci, wyrzekasz się siebie. Zastanów się choć raz, jak ty naprawdę żyjesz. Teraz pędzisz do Prowansji, żeby zawieźć Corinnie dzieci, potem pojedziesz do córki Carli, potem do syna Giny. Ach, jaki wspaniały ojciec, ach, jaki dobry kochanek. I to cię cieszy? A ich, kiedy przyjeżdżasz, kiedy odjeżdżasz, to cieszy? Trochę pamiętam tamte czasy, kiedy tato przyjeżdżał do nas na weekendy. Nie przypominam sobie wyraźnie żadnych wydarzeń, tylko to nieznośne uczucie, że jestem nieszczęśliwa – to pamiętam na pewno – które do dziś mi nie przeszło. Chciałam mieć ojca tylko dla siebie, marzyłam o tym, żeby go odebrać mamie i tobie, ale on nie należał do nikogo z nas, był z nami, a jednak go nie było, wyrzekł się mnie, ciebie, mamy. I dobrze zrobił, szybko to zrozumiałam. Dość tego, dość tego. Matka wydawała mu się zaprzeczeniem radości życia, my także, ja także, ty także. Nie mylił się, byliśmy właśnie zaprzeczeniem, zaprzeczeniem! Jego prawdziwa wina polegała tylko na tym, że nie wyrzekł się nas do końca. Jego prawdziwa wina polegała na tym, że jak już raz pozwolił sobie zranić nas do głębi, w sposób, w jaki zabija się lub okalecza życie na zawsze, to już nie wolno się cofać, już trzeba wziąć odpowiedzialność za swoje przewinienie aż do końca, przewinień nie popełnia się do połowy. Ale on nie był taki, on był tylko skurczonym w sobie człowieczkiem. Wytrzymywał dopóty, dopóki zdawało mu się, że ma rację, dopóki myślał, że wszyscy dokoła są po jego stronie. Potem, jak tylko wszystko zaczęło się chwiać, kiedy wygasło poparcie, kiedy obniżył loty i poczuł wyrzuty sumienia, poddał się. Wrócił, pogodził się z sadyzmem mamy. A ona mu powiedziała: Zobaczmy, co ci chodzi po głowie, nie ufam ci, już nigdy ci nie zaufam, nigdy nie uwierzę,

że wróciłeś z myślą o mnie i o dzieciach; nie uwierzę ci, bo tak czuję całą sobą, bo tak czują najgłębsze zakątki w mojej głowie, bo po prostu wiem, ile kosztuje taki odwrót. Dlatego co minutę, co godzinę, będę cię wypróbowywała. Wypróbuję twoją cierpliwość i twoją stałość. Będę to robiła na oczach dzieci, niech widzą, niech wiedzą, jakim jesteś człowiekiem. Powiedz tak albo nie: chcesz poświęcić swoje życie nam, jak ja poświęcam wam moje, czujesz się na siłach ciągle mieć nas troje na pierwszym planie? To nie to samo co kochać się, Sandro, nie to samo co zlepić na nowo rodzinę. Nasi rodzice nas zniszczyli. Wpakowali się w nasze głowy i cokolwiek byśmy mówili lub robili, ciągle jesteśmy im posłuszni.

W tym momencie, ponieważ jestem głupia, zaczęłam płakać. No tak, płaczę i płaczę jak jakaś kretyńka, chociaż nawet nie wiem dlaczego. Jestem wściekła na siebie za tę słabość, a mój brat wie, jak to wykorzystać. Ale nie robi tego. Chyba poruszył go mój monolog, stara się odzyskać równowagę. No więc przestaję szlochać, ocieram łzy, mówię łamiącym się głosem, skarżę się, że nikt mnie nie kocha, nawet mama, nawet tato. Nigdy mnie nie kochali. I pastwię się nad wdzięcznością, jaką dzieci powinny czuć do rodziców za życie, które od nich dostali.

– Wdzięczność? – Śmieję się, wykrzykuję: – To nasi rodzice winni są nam jakieś odszkodowanie za te krzywdy, jakie przez nich poniósł nasz mózg, nasze uczucia! Może nie? – Wycieram nos, klepię ręką w kanapę. – Labes, chodź tutaj.

Kot mnie zaskakuje: jeden sus i układa się przy mnie.

7.

Zmęczyłam się, przez płacz rozboleła mnie głowa, mam to po ojcu. Ale łzy na coś się przydały, czuję, że zbliżyliśmy się do siebie z Sandrem, i jeśliby to jeszcze jakoś utrwalić, wzmocnić, to on sam wróci do rozmowy o mojej propozycji. Głaszczę Labesa, postanowiłam zwierzyć się bratu z sekretu, który odkryłam przypadkiem jakiś czas temu, gdy dla swoich celów kartkowałam słownik łaciński. Mówię mu, co znaczy imię kota – znaczy nieszczęście, znaczy katastrofa. On jest sceptyczny, zna wyjaśnienie

ojca, Labes to tyle co zwierzę domowe. Żeby go przekonać, idę do gabinetu ojca, a kot idzie ze mną. Biorę słownik. Ależ tu duszno. Po powrocie siadam na podłodze, znajduję słowo *labes*, podkreślam je i jego znaczenia, wołam Sandra. Chcę, żeby mi powiedział, co myśli o tym małostkowym zagranium. Podchodzi niechętnie.

– Cóż – mamroce – po coś to zrobił. – I nie dodaje nic więcej, chyba jest roztargniony.

Upieram się przy tym:

– Co to za człowiek, który wymyśla takie rozrywki tylko dla siebie samego? Perfidny? A może tylko nieszczęśliwy? Rozumiesz, co to oznacza, chcieć ciągle słyszeć we własnym domu słowo, które mówi, co czujesz w głębi, słowo, które wybrałeś pokątnie, a twoja rodzina go używa, nie wiedząc, co ono znaczy?

Sandro krzywi się, nie wiem, czy to aprobatą dla mojego sądu, i wreszcie wraca do rozmowy o sprzedaży mieszkania.

– Gdzie podziałiby te wszystkie graty, które uzbierali?

– Trzy czwarte do wyrzucenia. Wiele razy zmienialiśmy mieszkania i mama nigdy nic nie wyrzucała, a nawet kazała mnie i tobie, żebyśmy przechowywali każde głupstwo. Może się przydać, mówiła, może tylko po to, żeby wam przypominać czasy, kiedy byliście mali. Pamiętać te czasy? A kto tu ma ochotę pamiętać? Nienawidzę mojego pokoju, niedobrze mi się robi, ledwo stoję na progu. Tam jest całe to straszne gówno gromadzone od czasu, kiedy się urodziłam, do czasu, kiedy wreszcie stąd uciekłam.

– Mój pokój jest taki sam.

– Widzisz? Jeżeli tak mówimy o naszych pokojach, to wyobraź sobie przegląd ich rzeczy. Dam ci przykład: wiesz, że mama trzyma wszystkie swoje notesy z zapisem wydatków (chleb, makaron, jajka, owoce) od pierwszego dnia małżeństwa, od 1962 roku do dziś? A tato? Zebrał i trzyma nawet te wycieczki, które pisał w wieku trzynastu lat. Nie mówiąc o gazetach i tygodnikach, w których coś opublikował, o uwagach do książek, które czytał, o zapisanych wszystkich snach, które mu się śniły, i tak dalej. Skonać można, przecież to nie jest Dante Alighieri. Wypisywał jakieś brednie dla telewizji, i tyle, jak kogoś ciekawią te jego mądrości (choć nie wiem,

czy to możliwe), to wystarczy zapisać je na dysku.

– To ich sposób, żeby zostawić po sobie ślad.

– Ślad czego?

– Ich pobytu na ziemi.

– Ja zostawiam ślad? Ty zostawiasz ślad? Cała ta mania, żeby wszystko przechowywać, to upodobanie mamy, tato się w to nie bawi.

Uśmiecha się, ale widzę w jego oczach smutek, który tym razem nie wydaje się udawany.

– Tak myślisz?

– Pewnie, że tak. Jeżeli namówimy ich na sprzedaż, to oczyścimy im ich życie i obojgu się przysłużymy.

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– W domu jest porządek pozorny i nieporządek rzeczywisty.

– Wyjaśnij mi to.

– Nic ci nie wyjaśnię, pokażę ci.

Wstaje, daje mi ręką znak, żebym szła za nim. Labes też biegnie. Wchodzimy do gabinetu taty, Sandro pokazuje bibliotekę.

– Widziałaś kiedyś, co trzyma w tym sześcianie u góry?

8.

Udaję, że to wszystko mnie bawi, ale resztki płaczu i niepokój jeszcze są we mnie. Jeżeli brat zrzuci zniecka maskę i zechce ujawnić mi trochę swojego bólu, będzie to znaczyło, że muszę uważać. Widzę, jak wspina się sprawnie po drabince, schodzi z tym granatowym sześcianem, porządnie zakurczonym. Ociera go z kurzu rękawem koszuli, podaje mi.

– Pamiętasz to?

Nie, nigdy mnie ten sześcian nie ciekawił, nic w tym domu nigdy mnie nie ciekawiło. Nienawidzę tych tysięcy przedmiotów w złym guście, nienawidzę każdego pokoju, każdego okna, każdego balkonu, nawet tego szemrania rzeki pod domem i jakoś zbyt niskiego nieba. Sandro natomiast mówi, że pamięta ten sześcian od zawsze, był w naszym domu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Neapolu.

– Popatrz, jaki ma piękny kolor – mamroce – i jak jest gładki. – Dla niego sześcian to najdoskonalsza bryła w geometrii. – Kiedy rodziców z jakiegoś powodu nie było w domu, zawsze wszędzie zaglądałem. To dlatego pewnego dnia znalazłem w nocnej szafce po stronie ojca prezerwatywy, a po stronie matki krem intymny.

– Obrzydliwość – rzucam odruchowo, ale potem się tego wstydzę: mam czterdzieści pięć lat, znałam wielu mężczyzn i wiele kobiet, a jeszcze brzydzę się seksem rodziców?

Śmieję się nerwowo, Sandro przygląda się zaniepokojony moim rękoma i mówi:

– Ty drżysz, dość tego.

Zaskakuje mnie tym swoim tonem, szczerze delikatnym. Bierze do ręki sześcian i szybko wchodzi po drabince, żeby go postawić na miejscu. Wpadam w złość.

– Nie wygłupiaj się – mówię – schodź, pokaż, co mam zobaczyć.

Stoi chwilę na drabince niezdecydowany.

– To jest pudełko – wyjaśnia. – Otwiera się, kiedy naciśniesz z jednej strony.

I zaraz to robi, a sześcian się otwiera. Potrząsa nim i ze środka wypada kilka zdjęć z polaroidu.

Pochyliłam się, żeby je pozbiierać. Jest na nich ta osoba, którą i on, i ja doskonale znamy. Znamy właśnie taką, z tą szczęśliwą twarzą. Usadowiła się w naszych głowach pewnego ranka, kiedy staliśmy na ulicy – ja, on i mama – w spokojnej części Rzymu. Przyjechaliśmy po to z Neapolu. Mieliśmy w sobie jakąś paraliżującą mgłę i czekaliśmy właśnie na nią. Mama nam wytłumaczyła. „Poczekamy – powiedziała – aż ona się pokaże, wyjdzie z bramy razem z ojcem”. I rzeczywiście, kiedy ojciec i ta dziewczyna wyszli – jakże byli piękni, jaśnieli jakimś blaskiem – mama powiedziała: „No to popatrzcie, jaki zachwycony jest wasz ojciec, to jest ta Lidia, dla której nas porzucił”. Lidia – to imię do dziś kojarzy mi się z ukąszeniem jakiegoś zwierzęcia. Kiedy mama je wymawiała, jej rozpacz przechodziła na nas, czuliśmy ją wszyscy troje, jakbyśmy byli jednym ciałem. Ale wtedy patrzyłam uważnie na tę dziewczynę i jakoś oddzielałam się od tego wspólnego ciała, którego byłam

częścią. Jaka ona jest piękna – myślałam – jaka promienna, kiedy będę dorosła, chcę być taka jak ona. Od razu poczułam, że zawiniłam tą myślą, tę winę czuję do dziś, czuję ją przez całe życie. Uprzytomniłam sobie wtedy, że nie chcę być podobna do matki i że wobec tego ją zdradzam. Gdybym była odważna, zawołałabym: „Tato, Lidio, chciałabym pójść z wami na spacer, nie chcę stać tutaj z mamą, mama mnie przeraża”. Teraz natomiast, dokładnie w tej właśnie chwili, bardzo mi żal matki i siebie. Lidia na zdjęciach jest naga i nadal jest promienna. My z mamą takie nie jesteśmy, nigdy nie byliśmy, dowodem są te zdjęcia. Ojciec nigdy się nie rozstał z Lidią, to nie było możliwe: trzymał ją ukrytą w swoich myślach i w naszym domu przez całe życie. A teraz, kiedy jestem o wiele starsza niż Lidia na tych fotografiach, a także o wiele starsza niż matka w czasach tamtej udręki, to patrząc na Lidię, czuję się jeszcze bardziej upokorzona.

– Od kiedy wiesz o tych zdjęciach? – pytam brata, który już zszedł z drabinki.

– Chyba od trzydziestu lat.

– I dlaczego nie pokazałeś ich matce?

– Nie wiem.

– A mnie?

Wzrusza ramionami, co ma znaczyć, że o swoich ciepłych uczuciach do mnie nawet nie chce próbować mnie przekonać. Syczę:

– Ależ jesteś dobry. Wszyscy jesteście dobrzy dla kobiet. Macie trzy ważne cele w życiu: pieprzyć nas, bronić ras, ranić nas.

9.

Sandro kręci głową, mówi coś ni w pięć, ni w dziewięć o moim zdrowiu. Odpowiadam, że ze mną nie jest źle, że czuję się wręcz wspaniale, że dobrze się stało, bo mogłam mu wyjaśnić, skąd się wzięło imię Labesa, a on mógł mi pokazać ten granatowy sześcian. Teraz wiemy trochę więcej o tym, jaki jest nasz ojciec. Co to za mężczyzna, nigdy się nie sprzeciwia, zawsze tylko przytakuje, był i jest sługą mamy. Jakże nienawidziłam tego, że ona nim dyryguje, a on się na to godzi i nigdy nie buntuje. I jakże nienawidziłam go za

to, że nigdy nas nie bronił przed matką. Tato, potrzebuję tego a tego. Poproś mamę. Ona mówi, że nie. No to nie.

Przełądam fotografie jedna po drugiej i rzucam na podłogę.

– Jest tu coś jeszcze, o czym ty wiesz, a ja nie wiem? – pytam brata.

Sandro cierpliwie zbiera zdjęcia z podłogi.

– O ojcu nie wiem nic więcej, ale wystarczyłoby dobrze poszukać, a na pewno coś by wyszło na wierzch.

– A o mamie?

Nie kryje, że co do mamy ma różne podejrzenia, jest przekonany, że miała kilku kochanków.

– Masz na to dowody – pytam – czy to tylko domysły?

– Dowodów można by poszukać – odpowiada. I dodaje, że przez wiele lat podejrzewał mamę o romans z Nadarem.

– Z Nadarem?! – wykrzykuję ze śmiechem.

Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać, mama z tym szpetnym Nadarem i na dodatek to jego śmieszne nazwisko. Sandro upiera się przy swoim:

– To chyba było w 1985 roku, ty miałaś szesnaście lat, a ja dwadzieścia.

Pytam go, ile miała mama. Nigdy nie umiałam tego wyliczyć. Odpowiada, że mama miała czterdzieści siedem, dwa lata mniej niż on dzisiaj, dwa więcej niż ja. A Nadar? No, sześćdziesiąt dwa?

– Boże Świąty! – wołam. – Czterdzieści siedem i sześćdziesiąt dwa, nie mogę uwierzyć.

Ale brat w to wierzy, jestem pewna, że wierzył zawsze. Mówi, rozglądając się dookoła:

– Coś i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw, jak nie Nadar, to ktoś inny, trzeba by pogrzebać w wazonach na kwiaty, przetrząsnąć książki albo poszukać w komputerze.

Wymienia wiele przedmiotów, gdzie coś takiego może się kryć, a ja patrzę na niego po raz pierwszy z ciekawością. Wyczuwam obecność ojca i matki. Wyczuwam ich w tych cichych pokojach, są razem, a są oddzielnie.

– Jedno przed drugim się ukrywało, ale zawsze w zagrożeniu, że

coś może się w każdej chwili wydać – mówi Sandro.

I nagle, bez jakiejś konkretnej przyczyny, jego oczy stają się szkliste. Należy do tych mężczyzn, którzy chwala się tym, że umieją płakać. Czyta powieść, pytasz go, no i jak, odpowiada, że się nad nią popłakał. Ogląda film – to samo. Teraz zaczyna płakać i płacze znacznie gwałtowniej, niż ja płakałam niedawno, zawsze musi przesadzać. Żeby go uspokoić, całuję go i przez jakiś czas przytulam do siebie, a Labes miauczy, bo nie wie, co się dzieje. Może niesprawiedliwie osądzałam Sandra. Był starszy, więcej zapamiętał. Niesnaski między rodzicami wcześniej go dotknęły, mnie dopiero potem, i może rzeczywiście były złagodzone tą jego manią, że musi mnie chronić. Mówię:

– No, dość tego, zabawmy się trochę, wszystko stanie się bardziej zrozumiałe.

10.

To były niesamowite godziny, może najprzyjemniejsze, jakie kiedykolwiek przeżyliśmy w tym mieszkaniu. Rzuciliśmy się na wszystko, pokój po pokoju. Najpierw tylko burzyliśmy porządek, a kot ochoczo deptał nam po piętach. Potem nabraliśmy wprawy i zaczęliśmy dewastować wszystko. Było gorąco, spociłam się, wkrótce poczułam się zmęczona. Powiedziałam do Sandra, że już wystarczy, ale on niszczył dalej, coraz bardziej zapalczywie. Więc wyniosłam krzesło z salonu na balkon i z przyjemnością stwierdziłam, że kot schronił się przy mnie. Wzięłam go na ręce, trochę do niego przemawiałam. Miałam pustkę w głowie, zniknęła nawet ta obsesja, ten dziwaczny pomysł, że muszę przekonać rodziców, żeby sprzedali mieszkanie. Przyszedł do mnie Sandro, zdjął koszulę. Jest taki sam jak tato, pomyślałam. Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– No i co?

– Moim zdaniem wystarczy.

– Idziemy?

– Idziemy. Labes chce iść ze mną.

Sandro się zasepił.

- Nie, tego by już było za dużo.
- A jednak tak, zabieram go ze sobą.
- Zostaw mamie jakąś kartkę.
- Nie.
- To zadzwoń do niej, kiedy wróci.
- Mowy nie ma.
- Będzie cierpieć.
- Ale kot nie. Widzisz, jak mu dobrze?

Przekład: Stanisław Kasprzysiak
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Anna Sidorek, Małgorzata Domosławska

Projekt okładki: Tomasz Majewski
Ilustracja wykorzystana na I stronie okładki: © Jonathan McHugh/Ikon Images/Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4471-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo